



PAUL HEYSE

---

**Andrzej Ingram**

  
wolnelektury.pl



FUNDACJA  
nowoczesna  
Polska

PAUL HEYSE

## Andrzej Ingram

TŁUM. BERTOLD MERWIN

W parne południe wrześnieowego dnia siedział młody chłopak w bujnie rozrostłym lesie winnych latorośli, pokrywającym południowe stoki Küchelbergu<sup>1</sup>, tuż obok miasta Meranu<sup>2</sup>. Ocienione chodniki były tego roku tak przeładowane owocem i listowiem, iż długie, ciche drożyny tonęły w ciemnozielonym półmroku. Dokoła panował żar, zapierający dech i powodujący wielkie zgnuszenie; żaden przewiew nie rzeźwił w tej spiekocie. Tylko w miejscach, gdzie między poszczególnymi winnicami piętrzyły się stromo małe kamienne schody, można było odetchnąć nieco świeżym powietrzem. Rzadko spotykało się tu człowieka. Tylko niezliczone jaszczurki przebiegały po schodach i szeleściły w krzewach bluszczu, pnących się obficie wzdłuż kamiennych parkanów pól winnych. Ciemnogrnatowe grona o wielkich, grubych lupinach zwiślały gęsto ze sklepień altan, a w głębokiej ciszy południa słyszeć się dawał niekiedy dziwny, perlący się ton, jak gdyby ucho łowiło krążenie soków i wrzenie szlachetnego owocu w skwarze słonecznym.

Chłopak jednak, siedzący na stoku góry pod winoroślami, zdawał się być głuchy na te tajemnicze głosy przyrody; pogrążony był we własnych, ponurych myślach. Nosił stary strój dozorców winnic, skórzaną kurtkę bez rękawów, z szerokimi naramiennikami, do których były przytwierdzone wąskimi rzemieniami lub srebrnymi łańcuszkami skórzane szelki; spodnie do kolan, opasane szerokim, grubym pasem, na którym widniało, białą nicią haftowane, imię właściciela; jasne pończochy, podwiązane pod kolanami; dokoła szyi łańcuszek z przedziwnymi ozdobami, zębami odyńców<sup>3</sup> i świstaków. Ale główne akcesoria służbowego stroju leżały obok w trawie: wysoki, trójganiasty kapelusz, oblamowany kogucimi i pawimi piórami, liśćmi i wiewiórczymi ogonkami, jako też długa, ciężka halabarda, za pomocą której dozorca przydawał swej groźnej postaci powagi, jeśli kto niepowołany wtargnął do winnicy, a nie chciał dobrowolnie zapłacić okupu lub dać zastawu.

Dniem i nocą, bez zluźnienia, bez odpoczynku niedzielnego i możliwości pójścia do kościoła, za marną zapłatę, tkwiąc te „żywe strachy na wróble” w wyznaczonych rewirach, od połowy lipca, gdy pierwsze grona nabierają słodkości, aż póty ostatnie dostaną się do tłoczni<sup>4</sup>. Ciężka ich służba, wykonywana w skwarze i deszczu, w winnicy, niemającej innych zabudowań prócz nędznego małego schronu z kukurydzianych liści — jest jednak urzędem szacownym, na który wybierani bywają tylko najbardziej zaufania godni młodzieńcy. Właściciele winnic starają się też o sówite zaopatrzenie swych dozorców w jadło i wino, by ich utrzymać w zdrowiu i w dobrym humorze.

Lecz sposób ten widocznie u ponurego chłopaka nie odnosił skutku. Obok niego na płaskim kamieniu, zastępującym stół, stał nietknięty dzban pełen czerwonego wina, nienapoczęty bochen chleba i wielki kawał wędzonego mięsa; właśnie przed chwilą przyniósł mu to ze wsi mały chłopak. Rzeźbiona fajeczka ze srebrnym łańcuszkiem dawno już przestała dymić; trzymał ją w ustach i wgryzał zęby w miękkie drzewo. Liczył około dwudziestu trzech lat, na twarzy i brodzie kędzierzawił się krótki zarost, ostre rysy twarzy wykazywały ślady przedwczesnych ciężkich przeżyć; czoło było przesłonięte włosami,

Lato, Wino

Strój

Praca, Wino, Wiesz

<sup>1</sup>Küchelberg a. Monte di Merano — wzgórze nad Merano. [przypis edytorski]

<sup>2</sup>Meran a. Merano — włoskie miasto w autonomicznej prowincji Bolzano, w regionie Trydent-Górna Adyga. [przypis edytorski]

<sup>3</sup>odyniec — samiec dzika. [przypis edytorski]

<sup>4</sup>tłocznia — prasa do wyciskania soku. [przypis edytorski]

które, we wczesnej młodości przycinane tuż nad brwiami, ułożyły się z czasem w loki, opadając również i dokoła całej głowy na kark. To dodawało jego postaci uroku młodości mimo ponurych cieni, zasnuwających oczy, i ostrych rysów twarzy.

Powolne kroki, zbliżające się w dole na ścieżce, spowodowały, że nagle otrząsnął się z zamyślenia, włożył kapelusz i chwycił halabardę w dłoń. Można było teraz dostrzec, że wzrost miał okazały, postać jego zwracała od razu uwagę piękną symetrią atletycznego torsu i mocnych ud. Tylko głowę miał dziwnie małą, a ręce i nogi delikatne jakby u kobiety. Posuwał się elastycznie, bez szmeru, pod sklepieniem prętów pokrytych winoroślami, nie dotykając ani jednego grona, i wychylił się poprzez najbliższą wyrwę w kamiennym murze, by zobaczyć, kto idzie drogą.

Chuda czarna postać w szerokim, wyszarzałym kapeluszu pilśniowym kroczyła drogą między winnicą a łąką, w cieniu wierzb, trzymając w ręce książkę, a spoglądając z wyrazem zadowolenia i zupełnie niepożądliwie w stronę pięknych winogron. Również i bez długiego surduta, sięgającego do kostek i zakrywającego czarne pończochy, każdy poznałby w tym wędrowcu osobę duchowną, a to przede wszystkim z kilku bardzo miłych rysów, właściwych zawodowi kapłańskiemu w tej okolicy. Nierzadko spotyka się tu u księży twarze skromne; przebija z nich wyraźnie pewne zakłopotanie wobec wielkiej godności, jaką reprezentują, stała troska, by zarówno nie uronić nic z majestatu boskiego, którego są wyrazicielami, jak również wobec swych parafian i owieczek nie okazać zbytnej niedostępności i dumy.

Księżulo w wyszarzałym kapeluszu był wikarym<sup>5</sup> kościoła parafialnego w Meranie; jego obowiązkiem było co dzień o godzinie dwunastej odprawić mszę, za co prócz izdebki na plebanii i kilku innych pomniejszych świadczeń otrzymywał dziennie jednego guldena<sup>6</sup>. Lud, który go z powodu łagodnego usposobienia bardzo cenił i z wielkim zaufaniem się doń odnosił, zwał go „księdzem z dwunastówki” i objawiał mu w różny sposób swą życzliwość. Nie było w okolicy domu, w którym za jego pojawieniem się nie postawiono by na stół dzbana i przekąsek, tak iż dzielny ten człowiek z biegiem czasu powagą swej postaci podniósł wydatnie wcale okazałym brzuszkiem. Do skromnego wyrazu twarzy dopasował się i ten, wystający spoza cienkiego surduta, ciężar, toteż żadnej z jego owieczek nie przychodziło na myśl kpić z tego naddatku natury. Ogólnie ubiegano się, by go ugaszczą najlepszymi produktami winnic, przyczyniała się do tego również i ta okoliczność, że wokół nie było lepszego języka, świeckiego czy duchownego, który by tak dobrze znał się na dobroci wina, umiał określić jego trwałość; również w wypadkach, gdy należało zbiory jakimś środkiem udoskonalić i uszlachetnić, umiał podać najwłaściwszy sposób. „Mieć język jak ksiądz z dwunastówki” — było przez pewien czas najzaszczytniejszym określeniem, przyznawanym znawcy wina.

Spośród różnych cnót, jakie posiadał, odwaga nie była najsilniejszą. Mimo że pochodził z chłopskiej rodziny, mogącej za czasów Andrzeja Hofera<sup>7</sup> pochlubić się niejednym dzielnym strzelcem, nerwy zawodziły go podczas niespodzianych wstrząsów duchowych, chyba że chodziło o wyratowanie jakiejś duszy lub o spełnienie ważnego obowiązku sumienia. Ale wówczas zwykł był swe siły moralne wzmacniać fizycznym pokrzepieniem i stale się starał o to, by w piwnicy zamieszkiwanego przez siebie domu nigdy nie widać było dna beczułki białego wina, któremu przypisywał krzepiące właściwości. Dziś oto, wracając z odwiedzin chorego we wsi Algund<sup>8</sup> bez pokrzepienia, nie miał dość sił psychicznych, toteż bardzo się przestraszył, gdy nagle tuż obok niego z muru winnicy zeskoczyła ciemna postać i, przypadając doń, ujęła go za rękę.

— Niech będzie pochwalony!... — zawołał, drżąc na całym cielem.

— Na wieki! — odpowiedział chłopak.

— Ach to ty, Andrzeju? Myślałem, że na szyję rzucił mi się szatan, błakający się po winnicy Pańskiej i wypatrujący, kogo ma połknąć. Gdy tak człowiek idzie, pogrążony w myślach i medytacjach, może się przytrafić, iż twój kapelusz wyda się rogatym

<sup>5</sup>wikary a. wikariusz — ksiądz, będący pomocnikiem proboszcza. [przypis edytorski]

<sup>6</sup>gulden — moneta, używana w krajach germańskich od XIV wieku. [przypis edytorski]

<sup>7</sup>Hofer, Andreas (1767–1810) — bohater narodowy Tyrolu, dowódca powstania przeciw Francuzom (1809). [przypis redakcyjny]

<sup>8</sup>Algund a. Lagundo — miejscowość i gmina we Włoszech, w regionie Trydent-Górna Adyga, w prowincji Bolzano. [przypis edytorski]

łbem jego diabelskiej mości. Więc tu bawisz? Zapewne to twoje pole, którego pilnujesz, a właściwie posiadłość twojej matki?

Oczy chłopca pociemniały, krew nabiegła mu do twarzy.

— Niech Bóg broni — odpowiedział — bym nogą przestąpił posiadłości mojej matki. Odkąd mi dała w twarz, myśląc, że to ja podpaliłem stajnię, nie jestem jej synem i nie przekroczę nigdy progu jej domu.

Ksiądz pojął dopiero teraz, że dotknął rany. Potrząsnął litościwie głową i rzekł:

— Ej, Andrzeju, takie słowa nie przystoją dobremu chrześcijaninowi. Czyż Pan nasz na krzyżu nie wybaczył swym wrogom? Czyż syn ma mieć za złe matce, jeśli go skarciła, choćby nie miała racji? Wiem, że to dla ciebie bardzo przykre i że nie po raz pierwszy ci się to od matki przytrafiło. Ale siedemdziesiąt siedem razy mamy wybaczać, Andrzeju. Czy zapomniałeś już, o czym cię w dzieciństwie pouczałem?

— Nie, księżę dobrodzieju — odpowiedział młodzieniec. — Ślubowałem nie myśleć o tym i udaje mi się to, dopóki jestem z dala od domu. Lecz gdybym wrócił, matka sama przypominałaby mi to, bo mnie nienawidzi i wciąż myśli, jak by mnie męczyć i upokarzać. Ona mnie również pozbawi testamentem dziedzictwa, wiem o tym, ale o to nie dbam. Nie zmarnięję i tak i chętnie wszystko pozostawię siostrze. Ale rozeszliśmy się na zawsze; tego nikt już nie zmieni. Wynająłem się za parobka, tam za górą, w Gratsch<sup>9</sup>, i tego lata jestem stróżem w winnicy, mam swe utrzymanie i nie potrzebuję z domu ani cencika. Gdyby matka posłała siedmiu gońców po mnie i chciała mnie sprowadzić w dom czwórka koni — nie poszedłbym. Wszystko ma wreszcie swój koniec!

Ksiądz słuchał uważnie i doszedł widocznie do przekonania, że bardziej jest wskazane pozostawić sprawę swemu biegowi, niż nadal wkraczać morałami i upomnieniami. Oglądał wzrokiem fachowca winnicę i rzekł:

— Twój chlebowca dobrze zrobił, że zamiast gatunków, które przedtem tu były, latoś<sup>10</sup> zasadził inne. Są one jeszcze młode, ale za rok przyniosą podwójną ilość owoców. Ile hektolitrow spodziewacie się mniej więcej?

— Zawszeć będzie sto czterdzieści do stu siedemdziesięciu.

— Jak ci się tu wiedzie, Andrzeju? Takie stróżowanie uprzykrza się wreszcie.

— Ha, być musi, księżę. Jeszcze kości zdzierzą trudom.

— Czy musisz pilnować i nocą?

— Ma się rozumieć. Mam jednak tylko dwoje oczu, a trzeba by ich mieć choćby z tuzin, by wszędy równocześnie wypatrywać. Żołnierze znowu poczynają krążyć nocą: winogrona są już tak słodkie, że dobrze nimi zwilżyć komiśny chleb<sup>11</sup>. Przychodzi ich od razu moc, a gdy jednego chwycimy, tymczasem inni robią swoje. Nie ma na to rady, bo u kapitana nie sposób uzyskać sprawiedliwości.

— Miasto powinno pójść na skargę.

— Ba, miasto! Trzeba by mieć świadków i dowody. A kto przysięgnie, że to tylko żołnierze byli, jeśli rankiem zastajemy wyboje, szabliskami w pnączach wyrąbane, podeptane latorośle, pokradzione winogrona? A jeśli kogo chwycimy za kark, to udaje niewiniątka i wie tyle o gronach, co dziecko w łonie matki. Nie pozostaje więc nic innego, jak na własną rękę sprawę załatwić i tak go zbić, by mu się odechciało przyjść na drugi raz. Ale powiedziałem sobie: następnego, którego przychwycę, powieszę, dalipan<sup>12</sup>, za nogi! Niech do jasnego ranka w powietrzu bałamka<sup>13</sup>!

— To biedacy, Andrzeju, a pokusa jest zbyt wielka. Powinniście dla nich być wyrozumiali.

— A czy oni nie postępują jak bestie? Proszę spojrzeć, księżę, oto na przykład latorośl gładko w połowie przecięta, listowie poźółkłe i poczyna opadać; serce się krwawi, gdy się widzi tak zniszczoną, i to dla psoty, ze złości, zdrową, spokojną roślinę, która po to tylko jest na świecie, by nam napelniała beczki boskim trunkiem. Gdy takiego kiedy przychwycę, niech go Bóg ma w swej opiece!

Matka, Rodzina, Konflikt,  
Syn, Nienawiść

Wino, Praca

Żołnierz, Konflikt, Kradzież

<sup>9</sup>Gratsch a. Quarazze — obecnie dzielnica Merano. [przypis edytorski]

<sup>10</sup>latoś (daw.) — w tym roku. [przypis edytorski]

<sup>11</sup>komiśny chleb a. komiśniak (niem. *Kommisbrot*) — ciemny, razowy chleb z mąki żytniej. [przypis edytorski]

<sup>12</sup>dalipan (daw.) — doprawdy, dając słowo. [przypis edytorski]

<sup>13</sup>bałamkać (się) — chwiać się (w gwarze lwowskiej); tu: dyndać. [przypis edytorski]

Potrząsnął groźnie halabardą w kierunku miasta i wetknął ją gwałtownym ruchem w piasek.

Ksiądz nieco się przestraszył, jednak nie zapomniał o swej godności i rzekł:

— Pomówię jeszcze dziś z kapitanem, żeby dopilnował, by po capstrzyku<sup>14</sup> nikt nie opuszczał koszar. Ale ty poskrom swą gorączkę i zważ, żeś tu jest w służbie. Władzy natomiast pozostaw sądenie. Bóg z tobą, Andrzeju! Idę dziś do Hirzera. Czy mam co powiedzieć Frankowi albo Róży? Może pozdrowienia?

— Nie, księżu. Między mną a Hirzerem wszystko po staremu. On nie chce nas znać, więc i ja nie mam mu nic do powiedzenia. Dzieci ma przyzwoite, ale nie chcę im szkodzić u ojca, gdybym im posłał pozdrowienia. Ale jeśli ksiądz spotka moją siostrę — nie, i tej też proszę nic nie mówić; tak sobie tylko pomyślałem...

Szybko, jak by chcąc ukryć zakłopotanie, pochylił się ku ręce księdza, ucałował ją z szacunkiem i, wetknąwszy drzewce halabardy mocno w ziemię, wskoczył na mur, po czym natychmiast zniknął w gęstych winoroślach.

Ksiądz udał się w dalszą drogę; rozmowa z młodzieńcem zaprzętała długo jeszcze jego czuły na dolę ludzką umysł. Lecz długotrwała, codzienna praktyka i obowiązek duchowny uciszania oliwą cierpliwości własnych i cudzych burz stępiły już nieco jego wrażliwość. Nie przeczuwał nawet, co się działo teraz w umyśle młodzieńca, leżącego tam w górze w szalasię z przytuloną do skały twarzą, jakby się chciał ukryć w łonie matki ziemi, by w niej znaleźć schronienie przed nadmierną troską.

Przeleżał tam co najmniej z godzinę, wyzwolony wreszcie od naporu myśli litościwym półsnem, gdy go nagle zbudził głośny śmiech, rozlegający się w dole na drodze. Przez chwilę leżał cicho, jakby namyślając się, czy nie śni. Lecz wciąż dolatywał go śmiech, niewinny, czysty śmiech dziewczęcy, z daleka wywołujący wrażenie trelowania i gruchania ptaka. Natychmiast podskoczył i pobiegł do wyrwy w murze, skąd roztaczał się widok w dół. Tą samą drogą między wierzbami, którą przedtem kroczył ksiądz, szła od strony miasta dziewczyna, licząca nie więcej jak siedemnaście lat, blondynka, raczej niska niż wysoka. Ruchy jej uroczej postaci, mimo że szła powoli i swobodnie, były tak lekkie i pełne gracji, że każdy mimo woli musiał się za nią obejrzeć. Ręce złożyła dłonią w dłoń, jak to tutejsze dziewczęta zwykle czynią, gdy nic nie niosą. Okrągła jej głowa jednak ani na chwilę nie pozostawała w spokoju, lecz wciąż się obracała to w jedną, to w drugą stronę, najczęściej, oczywista, w stronę swego towarzysza, który jej widocznie mówił bardzo pocieszne rzeczy, bo wciąż wybuchała głośnym, jasnym śmiechem. Obok niej szedł ruchliwy, zgrabny drągał, wcale dobrze się prezentujący w płóciennym bluzie żołnierskiej, wąskich, niebieskich spodniach i niebieskiej czapce, włożonej na bakier. Ciemna jego twarz i czarne oczy zdradzały włoską krew. Z trudem tylko porozumiewał się z dziewczyną łamaną niemiecką. Lecz właśnie dźwięki jego dziwacznie z włoską brzmiących słów bawiły ją niezmiernie. Żołnierz rzucił kilkakrotnie badawcze spojrzenia wokoło. Chłopa, pędzącego przy pomocy psa cielę do najbliższej wsi, przepuścił umyślnie, zwalniając kroku, a gdy znikł mu z oczu za zakrętem drogi, począł bardziej natarczywie zalecać się do dziewczyny. Nagle wzrok jego spotkał się z groźną postacią dozorcę, który wyszedł spoza murów winnicy i zbliżył się z podniesioną halabardą.

Włoch stanął niezdecydowany. Również i dziewczyna zatrzymała się.

— Dzień dobry, Andrzeju! — zawołała bez wszelkiego zakłopotania. — To mój brat — dodała, zwracając się do żołnierza — idźcie sobie; on nie zna żartów.

Żołnierz widocznie uznał to za dobrą radę, lecz na razie czuł się jeszcze bezpieczny wobec dość znacznego oddalenia od wroga.

— Nie bać się, panienko — powiedział — dam mu centa *a comprar tabacco*<sup>15</sup>, będzie cicho.

Włożył rękę do kieszeni, by wyjąć monetę, gdy usłyszał grzmiący głos dozorcę:

— Precz, żołdaku<sup>16</sup>, bo ci pikę<sup>17</sup> wrażeń w łeb, że ci się raz na zawsze odechce tu przychodzić!

Włoch spojrział na dozorcę wściekłym wzrokiem.

Śmiech

Żołnierz

Spotkanie, Brat, Siostra,  
Żołnierz, Konflikt, Przemoc

<sup>14</sup>capstrzyk — sygnał trąbki, oznaczający koniec zajęć dziennych w wojsku. [przypis edytorski]

<sup>15</sup>*a comprar tabacco* (wł.) — na tytoń. [przypis redakcyjny]

<sup>16</sup>żoldak (pogard.) — żołnierz. [przypis edytorski]

<sup>17</sup>pika — broń, składająca się z długiego drzewca i grotu, używana przez piechotę. [przypis edytorski]

— *Maledetto!*<sup>18</sup> — mruknął.

Lecz jeszcze nie mógł się zdecydować na odwrót, hańbiący go w oczach pięknej dziewczyny. Bawiąc się doskonale jego zakłopotaniem, stała spokojnie obok niego i nie-miłosiernie się zeń wyśmiewała. Lecz całe zajęcie widocznie dozorczy nie wydało się tak śmieszne, bo szybko podszedł i wlepił błyszczące oczy w przybladłą twarz żołnierza.

— Słyszysz? — krzyknął gniewnie. — Czy nie wiesz, że ta droga jest dla was wzbromiona? Czy mam ci zedrzyć z pleców bluzę i zatrzymać ją jako zastaw? Zapewne w nocy zapomniałeś winogron i teraz w południe po nie przychodzisz! Natychmiast wynoś się, bo...

— Precz z ręką! — krzyknął Włoch, widząc, że go tamten zamierza ująć — gdybym miał moją *sdegena*<sup>19</sup>...

— Robaku! Przynieś na drugi raz twą szablę i karabin też. To byłby dobry zastaw. A teraz marsz, bo naszpikuję cię jak żabę i cisnę na podwórze koszarowe, że nie zdołasz pacierza dopowiedzieć do końca!

Odepchnął dragała, aż ten kilka kroków się potoczył i, potknąwszy się o kamień, przyklął. Wstał jednak natychmiast i, wymachując obiema rękami i wykrzykując przekleństwa i obelgi, cofnął się przed siłą. Kuśtykając i wciąż się w tył oglądając, poszedł pod osłoną wierzb w stronę pobliskiej bramy miejskiej.

— Chwacko<sup>20</sup> się z nim obszedłeś, Andrzeju — rzekła blondynka, patrząc zupełnie obojętnie za pobitym elegantem — mówił mi tak dowcipne rzeczy, że wciąż musiałam się śmiać. Dlaczego stałeś się od razu taki dziki?

Brat nie odpowiedział. Myśli jego krążyły dokoła pobitego.

— To jeszcze nie koniec między nami! — rzekł — on jeszcze przyjdzie, dobrze, niech i tak będzie! Marysiu — rzekł nagle, zwracając się do dziewczyny — a ty... zawsze to samo... kto mi zagra, z tym tańcz! Czy nie wstydzisz się z takim diabłem wdawać się w rozmowy i spacerować z nim? Jeśli ci miły jest każdy, kto cię pobudza do śmiechu, stroń ode mnie. Wiesz przecież, że u mnie śmiech jest tak rzadki jak śnieg w Zielone Świąta<sup>21</sup>.

Dziewczyna ucichła i spoglądała wokoło niepewnym wzrokiem. Przyglądała, obie-ma rękami włosy, zaczesane gładko w tył i przytwierdzone nad szyją wielkim okrągłym grzebieniem, a jej twarz zaróżowiła się z zakłopotania.

— Andrzeju — rzekła wreszcie, nie patrząc nań — czy mam odejść?...

— Nie, zostań! — odpowiedział krótko — czy dla mnie przyszłaś?

— Naturalnie! — powiedziała skwapliwie i dopiero teraz odważyła się spojrzeć mu w twarz. — Już minął tydzień, a nie mogłam oddalić się z domu. Ciebie nigdzie nie widać. Matka zasnęła, było tak gorąco w kuchni, pomyślałam więc: pobiegnę i zobaczę, jak ci się powodzi. Masz, przyniosłam ci bułkę. Franek Hirzer mi ją kupił wczoraj, w niedzielę, po kościele. Sama nie będę jadła, jest za słodka.

— Franek? A cóż ten ci ma do darowania? Gdyby się jego ojciec dowiedział, byłoby krzyku co niemiara. Czy i on też cię pobudzał do śmiechu?

— On? Temu się tylko śmieje kieszeń, zapelniona guldenami. Wiesz, matka była przy tym, a gdy ona na kogo spojrzy, temu się odechciewa żartów, jak myszom, gdy poczują kota. Zmarniałabym, gdybym się czasem nie naśmiała do syta, bo mi tak smutno i ponuro z nią tam w górze, w chacie... samej...

Przez chwilę milczeli.

— Nie chcesz bułki? Kładę ją tu na ławce, zawsze się komu przyda. A tu mam kilka fig z naszego drzewa, dojrzałe. Zerwałam je dla ciebie. Masz, są dobre w tej spiekocie!

— Dziękuję ci, Maryś. Chodź, zjemy je wspólnie, tam w cieniu.

Poszedł przodem po schodach kamiennych, a ona za nim kroczyła, szczebiocąc. Na żadne z jej słów nie odpowiadał. Pod sklepieniem, utworzonym z winnych latorośli, położył się na ziemię, a ona przysiadła obok niego na szerokim kamieniu i skłoniła go, by

<sup>18</sup>*maledetto* (wł.) — przeklęty. [przypis redakcyjny]

<sup>19</sup>*Degen* (niem.) — szpada. *Sdegena* jest prawdopodobnie nieużywaną już formą dialektową. [przypis redakcyjny]

<sup>20</sup>*chwacko* (daw.) — energicznie, śmiało. [przypis edytorski]

<sup>21</sup>*Zielone Świąta* a. *Zielone Świątki* — potoczna nazwa święta Zesłania Ducha Świętego; święto ruchome (maj, czerwiec). [przypis edytorski]

skosztował figi. Z wolna się uspokajał. Lekki wietrzyk począł przewiewać, a wraz z nim doleciały turkoty dalekiego młyna nad Adygą<sup>22</sup>, szum rzeki Passer<sup>23</sup> i od czasu do czasu odgłosy ze strzelnicy, w której strzelano do tarczy. Czas wcale im się nie dłużył. Ugościł ją winem, co przywróciło jej natychmiast dobry humor. Nie spuszczał z niej oka... Włożyła sobie na głowę jego ciężki, zdobny w pióra kapelusz, wzięła halabardę w ręce i poczęła ze śmieszną powagą i figlarnym błyskiem oczu kroczyć tam i z powrotem wzdłuż drożyn winnicy.

Przebranie

— Andrzeju, mnie się zdaje, że przede mną mieliby stracha, gdybym przychodziła co nocy do ciebie i stróżowała, ty zaś przesypiałbyś kilka godzin. Przede mną mieliby respekt ci hultaje, prawda?

Chłopak zaśmiał się po raz pierwszy. Gdy spostrzegła, że lody topnieją, podbiegła do niego, odrzuciła kapelusz i halabardę i, przykucnąwszy w trawie tuż obok, rzekła:

— Tysiąc razy jesteś piękniejszy, Andrzeju, kiedy się śmiejesz, niż inni chłopcy, zamiast stale marszczyć czoło i patrzeć jak nasz Pan na krzyżu. Czyż nie jesteś młodym, dzielnym chłopcem, który nie ma powodu chować się przed kimkolwiek w mysią dziurę? Z matką... tak, to inna sprawa, ale ty przecież nie jesteś winien, o tym wiedzą wszyscy, a o mnie nie potrzebujesz się martwić, przyjdę do ciebie, ilekroć tylko się zdarzy sposobność, a przede mną matka nie odważy się coś złego o tobie powiedzieć, bo wie, że poszłabym sobie. Więc dlaczego zawsze zwieszasz głowę, a na mnie tak ponuro patrzysz, jak bym nie była twą ukochaną siostrą, lecz wrogiem? A jeśli mi jakiś chłopak powie słówko, od razu płoniesz jak słoma na dachu. Powiedz, czy chciałbyś ze mnie zrobić zakonnice? A może mam u matki przez całe życie służyć jak dziewczka i zostać starą panną?

Brat, Siostra, Zazdrość

Podczas tych słów przysunęła się całkiem blisko i położyła lekko ramię na jego plecy. Ale on wstrząsnął się, jakby się go dotknął upiór, i odsunął się przed pieszczotą. Piersi jego ciężko pracowały.

— Daj mi pokój, nie dotykaj mnie, nie pytaj o nic, odejdz ode mnie, jak daleko możesz, i nie przychodź nigdy więcej!

Podskoczył, jakby chciał uciec, nie mógł jednak postąpić kroku. Musiał na nią spojądać. Klęczała, jakby skamieniała, w trawie, z rękami złożonymi na łonie i patrzyła nań wzrokiem, który mu serce rozdzierał. Jej oczy rozszerzyły się; w na pół otwartych ustach ugrzązł bolesny krzyk; nozdrza drżały. Nie po raz pierwszy przerażał go ten wyraz twarzy dziewczyny. Czasem w trakcie dzieciennego śmiechu ogarniał ją nagle jakiś dziwny przestach i traciła na pewien czas przytomność; twarz wykrzywiła jej się w kurczach, które potem ustępowały w mniej lub więcej gwałtowny sposób. Sam nigdy dotychczas nie mógł sobie zarzucić, że wywołał taki atak. Przeciwnie, zawsze go wzywano, by odegnał złego ducha, co mu się też bez trudu udawało. Gdy jednak teraz ujrzał popadającą w omdlenie, i to z jego winy, przerażenie przez chwilę pozbawiło go spokoju i równowagi.

Choroba, Strach

Lecz wkrótce się opamiętał; pochylił się nad nią, ujął zlodowaciałe dłonie, spojądał jej w oczy.

— To ja, Mario! — szeptał — ja, Andrzeju, spójrz na mnie, słuchaj, wybac, jestem szalony; minęło już jednak, bądź dobra, wybac, nie wiesz, co się we mnie dzieje, miałabyś litość nade mną...

Gorącymi rękami ścisnął jej dłonie i, klęcząc tuż nad nią, czekał ze strachem, aż w jej rysach zatli się z powrotem życie. Lecz wciąż jeszcze leżała skostniała, rzęsy jej ani drgnęły, zdawała się nie oddychać, szeroko otwarte oczy patrzyły weń jakby w pustą przestrzeń. Wtem odezwały się głębokie dźwięki dzwonów kościoła parafialnego, wzywające na nieszpory<sup>24</sup>, i omdlenie poczęło z wolna ustępować. Westchnęła ciężko; powieki najpierw się zamknęły, gdy zaś potem je otworzyła i, budząc się, uprzytomniła sobie to, co zaszło, wytrysnęły z jej oczu rześiste łzy. Oparta o jego pierś, płakała, nie mogąc wydobyć słowa ze ściśniętego gardła.

On również nie wyrzekł słowa, jeno<sup>25</sup> ją tulił do siebie i słuchał falujących dźwięków dzwonu, w myśli powtarzając słowa modlitwy. Gdy dzwony umilkły, ujął dzban i podał

<sup>22</sup>Adyga — rzeka w pln. Włoszech. [przypis edytorski]

<sup>23</sup>Passer a. Pasirio — rzeka, przepływająca przez Merano. [przypis edytorski]

<sup>24</sup>nieszpory (rel.) — śpiewane nabożeństwo wieczorne. [przypis edytorski]

<sup>25</sup>jeno (daw.) — tylko. [przypis edytorski]

go jej. Zbliżyła wargi jak chora, nie zdobywając się jeszcze na ujęcie naczynia w dłoń, i długo piła. Potem zamknęła oczy i zasnęła obok niego.

Gdy po chwili usłyszał, że spokojnie oddycha, uniósł jej głowę, podłożył swój surdut i ułożył jej ciało wygodnie na trawie. Sam, rzuciwszy wzrokiem na swój rewir, przysiadł obok niej, oparł głowę o dłoń i spoglądał w uśpioną twarz, uśmiechającą się teraz pogodnie jakby w miłych snach. Gdy liść się poruszył i światło przelotem dotknęło jej czoła, cichutko jęknęła. Lecz widocznie czuła się teraz zupełnie dobrze. Nim jednak szarpał ból i każde spojrzenie w tę spokojną już twarz wzmagało jego męki...

Co za tajemnicze losy otaczały to rodzeństwo?

By to wyjaśnić, musimy się cofnąć wiele lat wstecz, w czasy, w których matka, tak wrogo dzieląca obecnie rodzeństwo, nie była wiele starsza niż jasnowłose dziecko, śpiące tu w winnicy pod krzewami. Dziadkowie jasnej Marysi posiadali na Küchelbergu skromną posiadłość chłopską, przepięknie położoną i na wsze strony w doliny spoglądającą: na lewo w dolinę rzeki Passer, na prawo w Vinschgau<sup>26</sup>, a na wprost poprzez miasto Meran w szeroką nizinę Adygi aż po góry Bolzano<sup>27</sup>. Stary Ingram odziedziczył osiedle po swych ojcach; uroczę położenie mniej ceniał niż obszerne winnice, na wszystkie strony się rozpościerające, a tak intratne, iż mógł wyżywić swoje liczne potomstwo. Najwięcej trosk przysparzała mu najmłodsza Maria; o innych jego dzieciach nie można było powiedzieć nic dobrego ani złego. Ta najmłodsza była nie tylko brzydka i raczej podobna do więdźmy niż do dziewczyny z Meranu, gdzie, jak wiadomo, są piękne i kształtne panny, lecz również od małości tak niesforna, że matka ją zawsze biła, a ojciec się jej wstydział. Z czasem jednak przestano ją bić, gdyż widoczne było, iż ta metoda wychowawcza potęguje tylko zło, a ponadto nawet dla chłopskich oczu stało się jasne, że w tej biednej główce nie wszystko jest w porządku. Proboszcz ją dokładnie zbadał i doszedł do przekonania, że jej przywary są przejawem zdziczałych popędów słabego i próżnego serca; i rzeczywiście rozum jej przy bliższej obserwacji nie wykazywał wcale nienormalności; gdy ją egzaminowano, umiała mądrze odpowiadać i upiększać dziwactwa, które popełniała. Najbardziej rażąca u niej była zupełnie niewłaściwa i godna politowania żądza strojenia się, ściągająca tym bardziej oczy wszystkich na jej niezwykłą brzydotę. Toteż przydano jej mnóstwo przezwisk, z których najłagodniejsze były „czarny paw” lub „dzika Marysia”; bracia zwali ją krótko „Czarna”, gdyż miała nie tylko ciemną cerę i gęste krzaczaste brwi, lecz czarne jej włosy kędzierzawiły się jak u Murzynek i opierały się uporczywie grzebieniom i wstążkom. Czy to dziwactwo natury miał na sumieniu król murzyński na obrazie, który matka jej raz pewnego ujrzała w Bolzano, jak niektórzy sądzili — pozostaje nierozstrzygnięte. Faktem jednak było, że „dzika Marysia” zamiast pogodzić się ze swym losem używała śmiesznych środków, by zaradzić złemu, i starała się upiększyć swą osobę przeróżnymi ozdóbkami i błyskotkami, obwieszając się nimi wbrew zwyczajowi. Gdzie tylko mogła dopaść grosza — a czyniła to nie zawsze w uczciwy sposób — kupowała sobie pstre wstążki lub sztuczne kwiaty, wplatała je w czarne włosy, a nawet, ku zgorszeniu ludzi starszych i na pośmiewisko młodszych, pojawiała się w takim stroju w kościele; matka zakazywała jej tego, zdzierła ozdoby i karała biciem i głodzeniem.

Ta smutna skłonność ustąpiła dopiero, gdy weszła w dojrzały wiek i zaostrzył się jej krytycyzm wobec kpín młodzieży. Lecz na nieszczęście skłonność tę zastąpiła inna, fatalniejsza, której zupełnie uległa. Oto spomiędzy wielu chłopców, którzy obcowali z jej braćmi, upatrzyła sobie właśnie najprzystojniejszego, i to takiego, który odnosił się do niej z wyraźną niechęcią. Był to chłopak ciałem i duszą przypominający dawny typ ludzi z Meranu, umysł nieco gnuśny w silnym, wspaniale rozwiniętym ciele, gorliwy katolik, doświadczony rolnik, używający niewiele słów, myślący tylko o potrzebach domowych, mało czasu poświęcający na niepotrzebne amory, gdyż w tych romantycznych dolinach ludzie miłością i małżeństwem zajmują się przeważnie z większym spokojem i zimniejszą krwią, niżby się to mogło wydawać przelotnym podróżnym. Wówczas gdy się w nim zadurzyła czarna Marysia, żył jeszcze jego ojciec, Alojzy Hirzer, który od zadłużonego właściciela dóbr rycerskich zakupił prastary zamek, położony na wzgórzu nad miastem, by tam pośrodku feudalnych zabytków założyć duże chłopskie gospodarstwo. Prócz syna

<sup>26</sup>Vinschgau a. Val Venosta — dolina w Alpach, w północnych Włoszech, w regionie Trydent-Górna Adyga. [przypis edytorski]

<sup>27</sup>Bolzano a. Bozen — miasto i gmina we Włoszech, w regionie Trydent-Górna Adyga. [przypis edytorski]

Sen

Rodzina, Wspomnienia,  
Natura, Góry, Wieś,  
Przemoc, Krzywda, Obcy,  
Piętno

Brat, Siostra



Józefa miał starszą córkę, która w Innsbrucku<sup>28</sup> kształciła się na nauczycielkę. Po nagłym zgonie ojca brat sprowadził ją z powrotem do domu, by mu pomogła w urzędzeniu gospodarstwa. Była to łagodna, blade, pięknookie dziewczę. Koledzy Józefa, z których niejeden miał wielką chętkę przez ożenek otrzymać piękną połąć ziemi, nie śmieli się zbliżyć do Anny. Była zbyt delikatna i cicha. Wkrótce poczęła ją opromieniać aureola świętobliwości, gdyż zawsze można ją było zastać w kościele lub w chałupach, w których leżeli chorzy; nie przeszła nigdy mimo dziecka, by nie wziąć go na rękę, nie obdarować obrazkiem i nie odmówić z nim pacierza. Brat był bardzo kontent, gdyż utrzymywała w porządku sale pałacu, w których można było jeszcze zamieszkać. Był on człowiekiem trzeźwym, niełatwo dającym się porwać sercowym sentymentom; toteż bardzo mu dogadzało, że siostra pozostała niezamężna. Gdy stał na balkonie, przylepionym do murów zamkowych jakby gniazdo jaskółcze, i spoglądał w dal w swym stroju chłopskim, wełnianej kurtce z czerwonym oblamowaniem, szerokim kapeluszu z barwnym sznurem — wzrok jego spotykał z zadowoleniem wieże klasztorne, których krzyże tu i ówdzie unosiły się na widnokręgu; myślał wtedy, że dawni szlacheccy panowie zamkowi tam umieszczali swe niezamężne córki. Nie miałby też nic przeciw temu, by i siostra jego tam szukała schronienia przed niebezpieczeństwami i pokusami świata. Ponieważ jednak na razie nie okazywała ku temu zbytnej ochoty, ponadto zaś jeszcze była potrzebna w domu, kontentował się odblaskiem jej świętobliwości, której promienie i na niego padały, i był wielce dumny, gdy osoby duchowne przybywały do Goyen<sup>29</sup> i przy szklance czerwonego wina omawiały sprawy kościoła.

O swej własnej przyszłości myślał tylko wówczas, gdy mowa była o jakiejś bogatej dziedzicze; uważał, iż ciąży na nim obowiązek powiększenia ojcowizny o piękny nabytek. A że był jednym z najpostawniejszych i najprzystojniejszych chłopców w okolicy, miał pewność, że niedługo będzie szukał, jeśli kiedyś na serio przystąpi do rzeczy. Z początku traktował też nieukrywane wcale zalecanki czarnej Marysi z pełnym godności lekceważeniem. Potem jednak, gdy plotki stały się częstsze i bardziej uprzykrzone, gdy na każdym jarmarku, odpuszcie i w ogóle na publicznych zebraniach pokpiwano z tego powodu, rozgniewał się naprawdę i drwinami, obrażającymi dziewczynę, starał się odwrócić od siebie podejrzenie.

Inny byłby może litościwszy, gdyż zalecanki Marysi wyrażały się tylko w uporczywej wytrwałości, z jaką wlepiła weń oczy, gdy go tylko zobaczyła; wzrok jej, jakby urzeczony, ściagał go, mimo że na twarzy jego pojawiał się wtedy wyraz gniewu i rysy groźnie się chmurzyły. Nawet w kościele zwracała w jego stronę pół twarzy i wpatrywała się z takim podziwem, jakby zupełnie zapomniała, co się wokół dzieje. Kto zna prosty, trzeźwy obyczaj ludu i przyzwitołą obojętność, cechującą obcowanie obojga płci ze sobą, pojmie, jakie zgorzienie wywoływało jej zachowanie się. Większość była przekonana, że Marysia jest niespełna rozumu i że trzeba jej na wszystko zezwalać, gdyż nie można jej przecież powstrzymywać od uczęszczania do kościoła, jeśli złe duchy nie mają silniej jeszcze jej opanować. Młodzi chłopcy byli jednak mniej łaskawi i zwali ją po prostu oszalałą babą, a że również i dziewczęta zupełnie się od niej odsunęły — szła zawsze samotnie z Küchelbergu na mszę, wypatrując już z daleka przenikliwymi oczyma między zebranymi przed kościołem ludźmi swego wybrańca.

Zupełnie była niewrażliwa, gdy bracia ostro wypominali jej zachowanie; nie odpowiadała wcale i nie zmieniała swego postępowania; nawet surowe upomnienie proboszcza nie pomogło, jak nic nie pomogły żelaza, gdy się doń zbliży magnes.

Wreszcie jedna z litościwszych dziewcząt postanowiła wyprowadzić Marysię z błędu. Powtórzyła jej, co Sepp Hirzer powiedział: „Gdyby mu na tym zależało, by mieć w kołyse czarnego pudła, ożeniłby się z Marysią”.

To poskutkowało. Od tego dnia „Czarna” była jakby przeobrażona; nigdzie jej nie było widać, przed wschodem słońca zakradała się na pierwszą mszę, przykłękała w najciemniejszym kącie kościoła, a gdy w drodze w góry spotkał ją jakiś chłopak, odwracała głowę i nie odpowiadała na żadne powitanie. Żądza strojenia się znikła zupełnie. Nosila

Miłość niespełniona,  
Obowiązek, Dziedzictwo,  
Obyczaje

Przemiana, Dziecko,  
Hańba, Przemoc, Kara

<sup>28</sup> *Innsbruck* — miasto w Austrii, stolica kraju związkowego Tyrol. [przypis edytorski]

<sup>29</sup> *Goyen* — prawdopodobnie chodzi o Castel Gaiano (niem. Schloss Goyen), zamek we włoskiej miejscowości Scena (niem. Schenna), położonej regionie Trydent-Górna Adyga, w prowincji Bolzano. [przypis edytorski]

najchętniej grube, proste suknie; kręte włosy, tygodniami nieczesane, opadały na czoło; sprawiała niesamowite wrażenie i każdy od niej stronił.

Poza tym bez szemrania wykonywała swą ciężką pracę, toteż rodzice byli z niej zadowoleni i nie krępowali jej w niczym. Tak minęła zima. Gdy na wiosnę zazieleniały łąki, zwróciła się do ojca z prośbą, by jej wolno było udać się na połoniny. Wybrała najwyższe i najsamotniejsze. Na całe lato czarna Marysia znikła z oczu ludzkich.

Tym bardziej zadziwił się świat, gdy jesienią, po powrocie trzód z gór, rozeszła się wieść: córka starego Ingrama przyniosła ze sobą chłopaka, śliczne, bielutkie, różowe dzieciątko, mające czarne, ale wcale nie murzyńskie włoski, przepyszny okaz niemowlęcia. Mimo hańby Marysia jest bardzo rada; bez skargi zniosła bicie, którym ją matka przywitała, a ojcu, gdy nalegał, by wszystko wyznała, nie chciała nic powiedzieć. W szopie, dokąd ją matka wyгнаła, by nie widzieć wciąż hańby, urządziła dla dziecka wygodny, ciepły kącik; dniem i nocą nie ruszała się z miejsca.

Wieść ta, zwłaszcza o piękności dziecka, wydała się ludziom zgoła nieprawdopodobna; lecz następnej niedzieli wszyscy mieli sposobność przekonać się o jej prawdziwości. W jasny dzień czarna Marysia zeszła z Küchelbergu, niosąc na ręku jakby w triumfie dziecko, zawinięte w najdelikatniejsze płótna i najpiękniejszą chustkę, i podała je z wyrazem wyzywającej dumy macierzyńskiej do chrztu. Gdy kto się zbliżył, by popatrzeć na mały ten dziw natury, natychmiast nakrywała śpiącą główkę welonem i mówiła kpiąco: — Ha, chcielibyście zobaczyć czarnego pudła? — i śmiała się z widocznym ukontentowaniem.

Rzadko chrzest w Meranie odbywał się wobec takiego tłoku świadków. Gdy jednak ksiądz zapytał o rodziców chrzestnych, okazało się, że Marysia o tym zupełnie zapomniała. Nikt nie zgłosił się na pytanie, kto z parafian zechce wyświadczyć dziecku tę przysługę; nikt nie miał zamiaru wchodzić w bliższą komitywę z matką, zaś dziadkowie, by uniknąć hańby, tej niedzieli udali się do kościoła w Lana<sup>30</sup>. Wtedy zbliżyła się, gotowa do każdego miłosiernego uczynku, córka starego Hirzera, klęcząca dotychczas w przedniej ławce, i wzięła Marysi dziecko z rąk. Wszyscy uznali to za najprostsze rozwiązanie sprawy, gdy Anna Hirzerówna, wzór cnoty i miłosierdzia, udzieliła pomocy biednej grzeszniczce. W ten sposób chłopak został ochrzczony. A że zakrystian<sup>31</sup> zgodził się, by dać swoje imię, nazwano dziecię Andrzejem. Promieniejąc szczęściem, niosła Marysia swego chłopaka przez miasto i wróciła do nędznej szopy, gdzie w pobliżu zwierząt domowych jej syn miał stawiać pierwsze kroki na świecie.

Wkrótce zapomniano o tych zdarzeniach, tym bardziej że Marysi wcale nie widywano, żyła tylko dla dziecka; wszystkie jej uczucia stopiły się w bezgranicznej miłości ku niemu. Jak dawniej siebie, tak obecnie stroiła małego Andrusia we wszystko, co tylko dało się użyć do ozdobienia dziecka. Można ją było widzieć siedzącą godzinami w cieniu, wijącą wieniec dla dziecka i zszywającą z pstrych jedwabnych szmatek dziwaczne sukienki, którymi ozdabiała chłopczyka jak lalkę i z dumą pokazywała przechodniom.

W rok potem jej dawny wybraniec poślubił bogatą dziewczynę z Algundu. Gdy się o tym dowiedziała, nie okazała najmniejszego zmartwienia. Cała przeszłość, aż do chwili gdy dziecko przyszło na świat, była jakby wytarta z jej pamięci; także o tajemniczym ojcu dziecka nigdy nie wspomniała i nie czyniła żadnych prób, by mu dać znać o sobie i synu.

I oto stało się, że w przeciągu jednego roku zaraza, która w tych dolinach porwała wiele ofiar, pozbawiła życia jej rodziców, a potem po kolei jej braci. Los czarnej Marysi zmienił się gruntownie. Bo jeśli już za życia rodzeństwa nie potrzebowała się lękać ubóstwa, to teraz stała się jedyną właścicielką domu i wielkich winnic i bogatą partią; szkoda tylko, że jej ciemna skóra i jeszcze ciemniejsza pamięć pierwszego stosunku miłosnego, którego owocem było dziecko, odstraszała niejednego kandydata do jej ręki.

Lecz praktyczność tamtejszego ludu wyszła jej na dobre. Nie potrzebowała nawet patrzeć przez palce, gdy jej wreszcie wyswatano męża. Był to wcale przystojny chłopak ze wsi Tyrol<sup>32</sup>, leżącej obok słynnego zamku tej samej nazwy. Ojciec go namówił, a choć chłopak niezbyt prędko umiał myśleć, to jednak w kilku słowach załatwiono sprawę.

Chrzest, Samotność,  
Grzech

Matka, Syn, Dzieciństwo,  
Nienawiść, Przemiana,  
Miłość, Córka

<sup>30</sup>Lana — miejscowość i gmina we Włoszech, w regionie Trydent-Górna Adyga, w prowincji Bolzano. [przypis edytorski]

<sup>31</sup>zakrystian — osoba nadzorująca zakrystię. [przypis edytorski]

<sup>32</sup>Tyrol a. *Tirol*, a. *Dorf Tirol* — miejscowość w regionie Trydent-Górna Adyga, w prowincji Bolzano. [przypis edytorski]

Tak samo było z Marysią. I ona uważała, że wszystko jest w porządku, jeśli teraz mimo przeszłości kolej i na nią przychodzi. Podczas omawiania sprawy bawiła się z małym Andrusiem, liczącym już czwarty rok życia; spoglądał on na obcego człowieka ze strachem i złością. Gdy ten jednak wyciągnął z kieszeni wielką torbę z cukierkami i podał ją dziecku, ostatnie skrupuły Marysi rozwiały się. W porównaniu z Józkiem Hirzerem Franek Wolfhart niezbyt chwacko się przedstawiał. Jego płaska, okrągła, zadowolona twarz, okolona jasnymi włosami, przypominała szablonowe obrazki, spotykane często na domach, bramach, a nawet w kościołach. Ale Marysia sama posiadała dość czerni, by ocenić nadmierną jasność swego przyszłego męża, a ponadto schlebiali jej to, że młody chłopak mimo wszystko ubiega się o nią. Toteż dzięki szybkości, z jaką się w tamtych okolicach załatwia tego rodzaju sprawy, Franek jako młody małżonek zajął po czterech tygodniach miejsce w domu na Küchelbergu, a tym samym po raz wtóry umilkły plotki i gadanina na temat czarnej Marysi.

Lecz nie na długo. Po roku wydała na świat dziecko, o którym sąsiedzi mówili nie mniej niż ongi<sup>33</sup> o Andrusiu. Było ono zupełnie podobne do ojca, bielutkie, jasnowłose, wcale nieprzypominające wyglądem swym matki, chyba tylko tym, że już od wczesnej młodości przejawiały się w dziewczynce jakieś rysy fantastyczne, niezwykła siła wyobraźni i kobiecej próżności, bardzo niebezpiecznej u dziecka, niekierowanego silną dłońią, która by poskramiała pociąg ku lekkomyślności i z młodej duszy wyrwała z korzeniami osty.

Bowiem mała Maria owładnęła sercem matki tak dalece, że pozbawiła brata nawet obowiązkowej części czułości. Dotychczas ulubieniec matki, stał się jej teraz zupełnie obojętny, ba, z biegiem lat obojętność przeobraziła się w zdecydowaną niechęć, spotęgowaną wreszcie do jawnej nienawiści. Niewiele pomagało, że dobroduszny ojczym ujmował się za chłopcem. A gdy mała siostrzyczka podrosła i z wielką serdecznością lgnęła ku bratu, nie mogła nawet ona, która wszystko u matki umiała uzyskać, zmienić jej nienawiści do syna. Przeciwnie, jej słowa wzmagaly tylko tę nienaturalną nienawiść, do której dołączyła się zazdrość, gdyż dziewczynka darzyła swego brata wielką czułością.

Tyle tylko mała Maria mogła biednemu chłopcu dopomóc, że chroniła go przed cielesnym znieważaniem. Gdyż tylko raz jeden zwyrodniała matka czynnie skarciła swego dawnego ulubieńca. Wtedy to dziewczynka po raz pierwszy doznała wstrząsu nerwowego, o którym opowiedzieliśmy na początku niniejszej opowieści. Na szczęście ojciec był w domu i mógł zapobiec głupim próbom ratowniczym przestraszonej matki. Dopiero bratu udało się lekkim głaskaniem drżącą dłońią opanować atak, aż lękające dziecko rzuciło mu się na szyję i dało się zanieść do łóżka, w którym potem długo spało.

Od tego wypadku omdlenia, który częściej się potem powtarzał, ilekroć ktoś dziewczynę nagle przeraził — matka nie podnosiła ręki na syna, aż do fatalnego dnia rozstania. Lecz jej niechęć tym bardziej rosła, iż nie mogła się przejawić w rękoczynach. Syn przestał po prostu dla niej istnieć: zajmowała się tylko dziewczynką. Niemordowana była w staraniach o jej zdrowie, sprowadzała lekarzy i znachorów, pielgrzymowała do przeróżnych miejsc odpustowych, dawała wciąż na mszę, a przede wszystkim okazywała dziewczynie we wszystkim ustępliwość, by uniknąć każdej pobudki, mogącej spowodować atak nerwowy. Słaby i łagodny ojciec godził się na wszystko. Nie było mu dobrze we własnym domu. Miasto było tak blisko, że widać było zielone krzewy przed drzwiami szynków<sup>34</sup>. Więc obchodził solennie wszystkie chłopskie święta, od których czerwieni się obficie kalendarz tyrolski, i opowiadał każdemu z dumą i spokojem, że w ostatnich pięćdziesięciu latach trzech z jego rodziny zmarło na *delirium*<sup>35</sup>, co zaprawdę nie jest najgorszym rodzajem śmierci.

Swjej żonie stał się od dawna obojętny. Nie kochała na świecie nikogo prócz córki. Również sąsiedzi i krewni stronili coraz bardziej od niej, gdyż wybryki jej budziły w nich zgrozę. Dom stał samotnie na skale, z dala od drogi, wijącej się dokoła Küchelbergu, do wsi Tyrol. Nikt tu nie wstępował; do nikogo nie przychodziła; w kościele, do którego szła nad ranem, miejsce obok niej pozostawało zawsze puste.

Toteż w tych okolicznościach nie dziwota, że Józef Hirzer unikał wszelkiego zbli-

Choroba, Pijaństwo, Ojciec

Dzieciństwo, Szkoła,  
Zabawa

<sup>33</sup>ongi (daw.) — kiedyś. [przypis edytorski]

<sup>34</sup>szynk a. szynkownia — gospoda, zajazd, oberża. [przypis edytorski]

<sup>35</sup>delirium, właśc. *delirium tremens* (łac.) — ostra psychoza, występująca u alkoholików w czasie abstynencji. [przypis edytorski]

zenia; zabronił stanowczo swej siostrze zajmować się chrześniakiem, zakazał swym dzieciom, które Andrusia i jasną Marysię spotykały w szkole, wspominać o nich w domu. On sam stawał się coraz zamożniejszy, uchodził za tęgiego gospodarza, doskonałego hodowcę winorośli i ze wszech miar poważanego obywatela, zaś siostra jego w równej mierze zyskiwała sobie łaskę u Boga i ludzi, zwłaszcza gdy cały swój majątek testamentem zapisała kościołom i klasztorom, za co jej księża przyobiecali, że z pewnością pójdzie wprost do nieba. Brat nie mógł temu przeszkodzić. Syn jego i trzy córki były i bez spadku po ciotce dostatecznie zaopatrzone — rodzice posiadali kwitnące, obszerne dobra. A gdy ich matka przedwcześnie umarła, zastąpiła ją ciotka Anna i tak się dziećmi zaopiekowała, że również i bez brzęczących dowodów miłości zachować ją miano po najdłuższym życiu w dobrej pamięci.

Jednak dzieci, mimo że bały się ojca, nie słuchały go ślepo i wcale nie unikały w szkole w Meranie Andrzeja i jego siostry. Mając łagodne, pogodne usposobienie, Marysia zbliżała się do nich zupełnie swobodnie, jak w ogóle do każdego, kto był dla niej uprzejmy; Andrzej mniej był przystępny, jednak dosyć się z nimi zgadzał, gdyż wiedział, że matka chrzestna, ciotka Anna, tylko ze względu na jego matkę tak mało się o niego troszczy. Był to zresztą cichy, zamyślony chłopak, najchętniej niewdający się z nikim w zbytnią zażyłość; od wczesnej młodości przejawiał dziwną zazdrość wobec wszystkich, którzy się zbliżali do siostry. Najmilej mu było w niedzielę, gdy hen, w górze, bez obcych dzieci przez cały dzień pozostawali razem, a mała dla nikogo się nie stroiła, jak tylko dla niego jednego. Urządzili sobie pod wystającą skałą, pokrytą gęsto bluszczem, schronisko z wieloma pilnie strzeżonymi, a tylko przez jaszczurki nawiedzanymi, schowkami. Latem, gdy winorośle sięgały do stóp ich schroniska, siedzieli tam całymi dniami, a dziewczynka nizała niezmordowanie ostrą szpilką błyszczące, żółte ziarna kukurydziane na długie nici, z czego powstawały przepiękne sznury. Gdy łańcuszki były gotowe, brat przyklękał przed Marysią i zdobił jej czoło, szyję, ramiona w kunsztownie wijące się pierścienie. Przy tym wyobrażnia ich ulatywała w wyższone krainy, a dziewczynka odczuwała tajemną rozkosz, że jest przedmiotem podziwu i uwielbienia. Zdało się jej, jakoby odbłask świętości opromieniał jej naiwną główkę. Chłopak był jeszcze uroczystszy; biada temu, kto by w tej chwili nadszedł i przeszkodził mu w jego hołdach. Miał też za złe siostrze, jeśli nagle zaczynała się śmiać i z przekory czy nudów rozrywała żółte łańcuszki, a ziarenka staczały się szybko z góry.

Przez pierwsze lata matka nie przeszkadzała im w samotnych zabawach i znikaniu w kryjówkach i schowkach. Lecz gdy Andrzej stawał się starszy i z coraz silniejszym wyrzutem w twarzy i ostrym wzrokiem spotykał przejawy nienawiści matki, starała się go wobec dziewczynki zohydzić różnymi podejrzeniami i złymi słowami, korzystała z widoczną satysfakcją z każdej sposobności, by dzieci poróżnić. Skłoniła nawet męża, by nieużytego chłopca, niemającego ochoty do pracy, oddać do „księdza z dwunastówki”; niech się tam uczy i zostanie księdzem. Więc Andrzej opuścił dom matki. Był bardzo cichy i smutny przy pożegnaniu z małą, która się śmiała i nie rozumiała, co to rozłąka. Wikary mieszkał w Meranie przy ulicy otoczonej dwoma rzędami kamiennych arkad, poprzez które słońce nie ma przystępu. Wąskie domy z ciasnymi podwórkami i ponurymi schodami są prastare i przeważnie brudne, do suterenu przylegają od północy dalekie winnice, sięgające aż do podnóży Küchelbergu, od południa roztacza się widok na mury miejskie. Tu są jaśniejsze izby, a z okien wzrok sięga poprzez mur i rzekę w dolinę Adygi. Skromna kwatery wikarego położona była w tej stronie. Lecz chłopcu, przyzwyczajonemu do rześkiego powietrza w górach, wydała się jakby więzieniem. Chętnie zamieniłby swą słoneczną izdebkę na poddaszu na ciemne okienko od strony północnej, z którego mógłby spoglądać na górę i małą skalną jaskinię tam ponad ostatnimi winoroślami, miejsce swych zabaw dziecięcych. Stał się jeszcze bardziej milczący mimo łagodności swego nauczyciela. Nauka mu obrzydła, jadł mało, nie mógł sypiać, w ciągu czterech tygodni przybladł i zmizerniał. Pewnego dnia stanął przed nauczycielem i powiedział, że umrze, jeśli będzie dłużej w mieście. Nigdy nie wymieniał imienia swej siostry. Ale litościwy opiekun zrozumiał od razu, że trawi go nieposkromiona tęsknota za siostrą, więc podjął się przekonać matkę o konieczności powrotu do domu. Stara pomstowała, nie chcąc ani słyszeć o tym. Jednak z wieczora chłopak zapukał do drzwi chaty; po burzliwej scenie, zakończonej znowu nerwowym atakiem dziewczynki, matka zgodziła się wreszcie na po-

Rozstanie, Ksiądz, Smutek,  
Miasto

wrót syna, ale pod warunkiem, że będzie spełniał roboty parobka, a łoże swe miał w kącie szopy za domem.

Mała była bardzo szczęśliwa, że go znowu ma przy sobie; on sam za tę cenę nie unikał żadnych robót i nie lękał się niedostatku. Wykonywał wszystko, co mu ojczym zlecał, pracował w winnicy, chętnie szedł z posyłkami, a matkę widywał tylko przy jedzeniu; nigdy ani słowa do siebie nie przemówili. Ponieważ nie otrzymywał pieniędzy i miał marne ubranie, stronił od chłopców swego wieku, szynków, kręgielni. W święta przesiadywał jak ongi z siostrą, a mimo że oboje podrośli, on był silnym młodzieńcem, zaś ona przedmiotem pożądlivych spojrzeń i zalecanek niejednego chłopca — obcowali ze sobą jak dzieci, rozmawiali swobodnie i niewymuszenie. Ona ze wszech sił starała się ulżyć mu w ciężkim życiu, przynosiła najlepsze kąski, które otrzymywała od matki lub kupowała w mieście. Nigdy nie chciał brać matczynych darów, natomiast widoczną radość mu sprawiało, gdy go obdarowała czymś zakupionym. Często po ciężkim dniu pracy, zwłaszcza w czasie zbiorów, zakradała się do niego i siedziała w ciemności obok jego postania, składającego się z wiązki siana i nędznej derki<sup>36</sup>. Bawiło ją to, gdy w ciemności nie rozpoznawał, kto jest przy nim i na wpół jeszcze śpiący odsuwał jej rękę, bawiącą się jego włosami, jak gdyby odpędzał od siebie mysz polną. Gdy się budził i słyszał jej jasny śmiech, udawał, że śpi dalej, by dłużej z nim figlować. Zawsze ją odprowadzał do kościoła, tu jednak zazdrość zżerała jego serce, gdy zbliżali się do niej chłopcy, zaś ona wcale się przed nimi nie opędzała. Spotykał też tu swą chrzestną matkę, ciotkę Annę; chętnie zbliżyłby się do niej, gdyż witała go zawsze dobrym i serdecznym spojrzeniem, lecz zawsze stał, jakby na warcie, Józef Hirzer i groźnym wzrokiem dawał do poznania, że nie życzy sobie żadnego zbliżenia. Toteż witano się z daleka oziębło, choć Marysia często opowiadała bratu, że Różyczka, najmłodsza córka Hirzera, pozostała po zamążpójściu obu swych starszych sióstr sama w domu, niejednokrotnie długo nań spogląda i z pewnością jest w nim zakochana.

Brat, Siostra, Zazdrość

Ilekróć o tym wspomiano lub czyjeś wesele było przedmiotem rozmów, Andrzej popadał w zamyślenie i przerywał dalszą rozmowę. Miał wyraźny wstręt do mówienia o tych sprawach. Nie można było też zgadnąć, czy w ogóle myśli kiedy o założeniu własnego ogniska domowego. Ale z dziwnym wyrazem strachu patrzył w twarz siostry, gdy zajmowała się swą przyszłością i mowa była o możliwości rozstania się.

— Dzieckiem jesteś! — mawiał wtedy. — Wszyscy mężczyźni są źli, małżeństwo to niedola. Zostaniesz ze mną, będę dla ciebie pracował i zapewnię ci życie bez trosk. Po co ci inni? Prędzej rzeka popłynie w górę, zanim się trafi taki, co by był dla ciebie odpowiedni.

Śmiała się wtedy, gdyż jej takie słowa schlebiały. Lekkomysłna z natury, nie skłaniała się też dotychczas poważniej ku żadnemu z zalotników. Zresztą i matka przyczyniała się do tego, by odstraszyć poważniejszych konkurentów. Toteż przez szereg lat w zagrodzie na Kichelbergu żyła ta gromadka ludzi obok siebie i nie zanosilo się na żadne zmiany.

Wreszcie pewnego dnia głowa rodziny uległa wpływowi tej gwiazdy, która już godnym jego przodkom oświetlała drogę do grobu. Umarł na obłęd opilczy<sup>37</sup>. Od tego czasu wszelkie starania wdowy zmierzały do tego, by pozbyć się syna z domu. Darujmy sobie dokładny opis dzikiego zajścia, które jej dopomogło do osiągnięcia tego celu. Rodzeństwo rozstało się; jasna Marysia nie miała odwagi namawiać brata, by się narażał na dalsze znieważania.

Ojciec, Pijaństwo, Śmierć

Rozstanie, Tęsknota,  
Wygnanie, Zazdrość,  
Przecucie, Strach

— Idź! — rzekła. — Tak będzie lepiej. Ja cię nie opuszczę. Wiesz przecież, że ja z nią robię, co tylko zechcę, a gdyby mnie nie puszczala i drzwi zamknęła, wyskoczę oknem i pobiegnę do ciebie.

Dotrzymywała też słowa. Ale nie wystarczyło mu, że w ciągu tygodnia go odwiedzała, nie licząc niedziel, które zawsze ze sobą spędzali. Był przyzwyczajony codziennie, wciąż ją widywać. Ta sama dziecinna tęsknota, która go ongi zmusiła do opuszczenia izdebki u księdza, trawiła go i teraz, gdy po ciężkiej pracy siedział pod gałęzmi drzewa kasztanowego; pędem wybiegał na stromy stok góry, by tylko przed ułożeniem się do snu ujrzeć dach zagrody lub też może jakąś postać, z dala podobną do dziewczyny. Zdarzało się czę-

<sup>36</sup>derka — gruby, zniszczony koc. [przypis edytorski]

<sup>37</sup>obłęd opilczy a. Zespół Otella, a. obłęd alkoholowy — ostra psychoza, występująca u alkoholików. [przypis edytorski]

sto, zwłaszcza w dni świąteczne, gdy nie przybywała na wyznaczone miejsce spotkania, że pełen żrącej zazdrości warował przy drodze do domu, czy też jej nie wstrzymały jakieś odwiedziny. Gdy przechodził jakiś chłopak, udawał, że śpi, by z wyrazu jego twarzy wyspiegować, czy nie idzie do Marysi. Czuł się przy tym bardzo nieszczęśliwy. Budziły się w nim jakieś straszne podejrzenia. Dlaczego nie zezwalał swej siostrze na to, co było wszystkim dziewczętom dozwolone, to jest: swobodnie myśleć i czuć? Ze strachem odpędzał te myśli od siebie, myśli, które coraz natrętniej wracały. Ojciec jej nie był, co prawda, jego ojcem. Ale przecież byli mimo to rodzeństwem!

Często przychodziło mu na myśl, że lżej by mu się zrobiło na sercu, gdyby sobie poszedł precz. Co mu przeszkadzało? Co wstrzymywało? Wszak tam, na świecie, nie musiałby z większym trudem niż tu przedzierać się przez życie. Kto wie, może by się natknął na ojca... Byłoby najkorzystniej zmienić powietrze. Gdyby tylko się mógł zdobyć na pierwszy krok!

Znowu myśli te tłoczyły się w jego głowie, gdy siedział dziś pod winoroślami obok śpiącej i przyglądał się igraniu promieni słonecznych na jej czole. Atak nerwowy, po którym teraz wypoczywała, przeraził go; widok niewinnego spokoju, w jakim przed nim leżała, pomnażał jego zmieszanie. Silił się na odwagę, by uczynić teraz uroczysty ślub wyrwania się stąd na zawsze. Gdy była obok niego, czuł zawsze wyraźnie, jak konieczne jest, by uciekł. Gdy jednak potem pozostawał sam, wiedział, że to niemożliwe.

Nie dotykał śpiącej; od lat dziecięcych nie odważył się więcej całować jej czerwonych, roześmianych ust. Trwożliwość jednak, z jaką w nią się wpatrywał, była zmieszana z głuchą, namiętą męką; jej oddech, owiewający twarz jego, pobudzał krew do szybszego krążenia.

Zapadał mrok. Śpiąca obudziła się, podniosła głowę i rozejrzała się. Gdy zobaczyła obok siebie brata, uśmiechnęła się serdecznie.

— Jak długo spałam? — zapytała zdziwiona. — Jak to się stało, że się tu położyłam?

— Było gorąco. Teraz idź do domu, Maryś. Ja muszę obejść rejon i przekonać się, czy wszystko w porządku.

Wstała i podała mu rękę.

— Dobranoc, Andrzeju — powiedziała szybko, a w świadomości jej błysło niejasne wspomnienie tego, co zaszło przed zaśnięciem. — Pojutrze niedziela. Przyjdiesz do kościoła?

— Nie, Maryś, wiesz przecież, że muszę tu zostać na posterunku, dopóki się nie skończy okres stróżowania.

— Tak, to prawda — odpowiedziała w zamyśleniu — przyjdę znowu do ciebie. Dobranoc!

Walczył ze sobą, by jej powiedzieć, aby więcej nie przychodziła. Lecz zanim się zdecydował, odeszła. Stał u wylotu ocienionej drożyny i spoglądał, jak wstępowała szybko na strome schodki kamienne. Jej sukienka poruszała się zgrabnie dokoła kolan, za każdym krokiem fałdując się i rozchodząc wachlarzowato. Na zakręcie skinęła ku niemu raz jeszcze ręką. Nie pozdrowił jej; poręcz, o którą się opierał, drżała; długo powstrzymywane westchnienie nie przyniosło mu ulgi, czuł ucisk w piersiach.

W tej chwili usłyszał szybkie kroki z dołu i poznał jednego z kolegów, brodatego, silnego draba, również w strojnym stróżowskim kapeluszu; zamiast halabardy miał w dłoni olbrzymią świerkową pałkę, którą wesoło potrząsał.

— Andrzeju! Co z nocą? Czy mam z tobą czuwać? Miałeś zajście z Włochem, widziałem to. Bądź pewien, że ci tego nie daruje i sprowadzi innych na kark. Patrz, mam tu coś takiego, co pokrzyżuje plany tym zbójom!

Wyciągnął z kieszeni skórzanej kurtki mały pistolet.

— Dziękuję ci, Jasiu — odpowiedział Andrzej. — To tchórz. Sam nie przyjdzie, a jeśli ich będzie chmara, to we dwojkę nie damy rady. Dam ci wtedy znak, a ty zawiadomisz naszych, żeby się mieli na baczności. To zaś — wskazał na kieszonkowy pistolet — zostaw w spokoju. W ciemności jest nieprzydatny. Gdy kogo z nich schwytały, uczciwa porcja kijów przyda się więcej niż dziura w ciele, która potem będzie świadczyła przeciw nam w sądzie.

Erotyzm

Konflikt wewnętrzny

Broń

— Jak chcesz. To na wszelki wypadek. Chciałbym, by przyszli. Mam z nimi na pieńku, a Kuba też jest rozwścieczony na tych łotrów. Raz wreszcie musimy się z nimi rozprawić.

Andrzej milczał, brodac poszedł sobie... Wszyscy znali bowiem Andrzeja jako dziwaka i samotnika i nie narzucali mu się.

Słońce zaszło już za górami, lecz noc nie zawiadnęła jeszcze światem całkowicie. Spływając poprzez pasma górskie, docierała jeszcze jasność dzienna, nad rzeką unosiły się niebieskawe opary, gdzieniegdzie przetykane smugą słoneczną, zakradającą się w doliny spoza ścian górskich. Pasterze spędzali w dole na łąkach swe trzody, a wszystkie drogi ku wsiom pełne były krów, które przez dzień pasły się nad strumieniami. Od południa Góry Trentyńskie<sup>38</sup> i śmiało w niebo wystrzelający szczyt góry Mendel<sup>39</sup> zasnute były wilgotną mgłą. Potem ukazała się wąska smuga księżycy, który, rzuciwszy niepewne spojrzenie w cichą głębię, znikł wkrótce w ciężkiej wilgoci, leniwie posuwającej się nad górami. Przebrzmiały ostatnie szmery w mieście, ostatnie głosy dzwonów na wieżach. Huczały tylko chyże<sup>40</sup> wody górskie, z dala szemrał wiatr południowy, unosił kurz na drogach i szeleścił w zeschniętym zeszlórocznym listowiu. Około jedenastej i te szmery zamilkły, dokoła rozpostarła się nieruchoma, czarna noc, bezgwiezdna, bezgłówna, wilgotna a ciepła...

W takie noce dozorczy w winnicach czuwają bez chwili snu. Wiedzą dlaczego. Gdyż w takie bezksiężycowe noce najłatwiej wdrzeć się w winnicę i wyrządzić wielką szkodę.

Pod szopą krytą liśćmi kukurydzianymi siedział Andrzej, pykał z małej fajeczki i często sięgał w ciemności do dzbanka, który z nastaniem mroku mu przyniesiono. Ciężkie krople deszczu, kapiące poprzez liściasty dach, nie przeszkadzały mu i nie raziły. Wyteżał słuch w stronę miasta, a gdy wybiła jedenasta godzina, podniósł się cicho i zakradł ku miejscu obok drogi, gdzie w wylocie skalnym, zakrytym wielkimi liśćmi dyni, miał wyborny punkt obserwacyjny. Tu przysiadł za kamieniami, oparł wygodnie halabardę, by ją mieć stale pod ręką, i zapalił fajeczkę. Czuł się teraz o wiele spokojniejszy niż za dnia. Rad był, że jego wewnętrzny niepokój znajdzie ujście w niebezpiecznym spotkaniu. Był bowiem pewien, że żołnierz zechce się tej nocy zemścić.

Lecz wróg nie kwapił się; widocznie zamierzał uspić jego czujność. Z wieży doleciały już dźwięki dwunastu uderzeń, północ minęła, a na drodze nic się nie ruszyło. Jeden z dozorców, stróżujących w pobliskiej posiadłości, dotarł w swym ronczie<sup>41</sup> do Andrzeja.

— Dziś nie przyjdą — szepnął. — Idę w górę do chaty. Gdy się coś zdarzy, zagwizdaj.

— Dobranoc! — mruknął Andrzej.

Był kontent, że tamten sobie poszedł. Najchętniej sam jeden rozprawiłby się z Włochem.

Znów upłynęło pół godziny. Nagle począł nasłuchiwać...

Niedaleko, tam gdzie sadyba<sup>42</sup> chłopska opierała się o górę, między winnicami, rozległ się gwałtowny ryk i wkrótce wśród łomotu trzaskających desek oparkania<sup>43</sup> potoczyła się ciemna masa, niepodobna do ludzkiego tworu. Andrzej podskoczył, serce mu biło, zrobił znak krzyża. Stał nad wyrwą w murze, ujął silnie w dłoń halabardę i starał się wzrokiem przebić ciemności, ścielące się nad miejscem, z którego dolatywał hałas. Ryk zbliżał się, zdawało mu się, jakby ku niemu przewalało się postrzelone dzikie zwierzę, szukając w swej wściekłości myśliwego. I oto teraz dopadło muru, kamienie potoczyły się po krzewach nad murem; zagadkowe cielsko trzasnęło z taką siłą o ziemię, że mur, do którego Andrzej był przyparty, zatrzęsł się.

Zapanowała nagle cisza, tylko głuche jęki dolatywały z miejsca, w którym legła czarna masa. Andrzej nie miał więcej żadnych wątpliwości, że leży tam jedna z krów sąsiada, którego stajnia graniczyła z winnicą. Obudziły się w nim straszne podejrzenia. Gwizdnął, pobiegł po schodkach w dół i dopadł drogi.

Góry, Natura

Okrucieństwo, Zwierzę,  
Żołnierz

<sup>38</sup>*Góry Trentyńskie* — część Alp, położona we Włoszech, w regionie Trydent-Górna Adyga, w prowincji Trydent. [przypis edytorski]

<sup>39</sup>*Mendel* a. *Mendola* — góra we włoskich Alpach, w regionie Trydent-Górna Adyga, w prowincji Trydent. [przypis edytorski]

<sup>40</sup>*chyży* (daw.) — szybki. [przypis edytorski]

<sup>41</sup>*ront* (daw.) — obchód terenu. [przypis edytorski]

<sup>42</sup>*sadyba* (daw.) — siedziba, osiedle. [przypis edytorski]

<sup>43</sup>*oparkanie* — ogrodzenie, parkan. [przypis edytorski]

Zwierzę leżało na skraju drogi, wciśnięte w kamienie, biło nogami i ryło rogami ziemię. Lecz widocznie ból, który je wprzódy pędził w dal, ustąpił, czasem tylko głucho ryknęło, jakby chciało wołać o pomoc.

Z różnych stron podeszło obecnie kilku chłopaków i zaczęło krowę podnosić i stawić na nogi. Andrzej milczał, tylko uważnie szukał czegoś na ziemi. Ostrzem halabardy podniósł coś tłącego się.

— Tak jest! Od razu sobie pomyślałem. Nosem wyczulem, gdy tu podszedłem. To jeden z ich łotrowskich kawałów. Patrzcie!

Pokazał im kawał lontu, tłący się jeszcze mimo wilgoci.

— Łajdaki! Wsadzili go do ucha niewinnego bydlęcia. Gdyby krowa nie była tu runęła, lont przepaliłby jej łeb do mózgu i bydlę poszłoby na marne. Padając, krowa wytrząsnęła z siebie lont. Chłop ma szczęście. Ale gdybym tu miał łotra, Boże święty!...

Jaś odwiódł kurek<sup>44</sup> swego pistoletu.

— Pójdiesz ze mną, Andrzeju?

— Nie. Zostaw w spokoju ten kawał żelaza. Postawcie krowę na nogi i zabierzcie ją do obory. Sam pójdę.

Skoczył wielkimi krokami poprzez brzozy na łąkę. Żądza walki oładnęła nim i ostrzyła zmysły. Deszcz padał teraz silnie, wiatr szumiał. Mimo to Andrzej, zbliżywszy się do bramy miejskiej, usłyszał kroki w oddali i ujrzał przed sobą dwie uciekające postaci, w których po białych kurtkach poznał swych znienawidzonych wrogów. Jeszcze sto kroków, a dopadną murów miasta. Lecz poruszali się widocznie bardzo powoli. Jeden z nich — a można było już dokładnie rozeznac — kulał, oparty o ramię swego towarzysza. Widocznie bydlę broniło się rogami. Szli, rozmawiając o swym bezecnym czynie, kulejący śmiał się głosem, w którym mściciel poznał żołnierza, spacerującego rankiem poprzedniego dnia z Marysią. Lecz śmiech ten nagle zamienił się w okrzyk przerażenia. Rażony pchnięciem halabardy, żołnierz padł na kolana i wykrztusił jedno tylko słowo: *pardon*<sup>45</sup>. Nowy cios zwałił go na ziemię. Towarzysza, szykującego się do pomocy, chwyciły dwa stalowe ramiona i zaczęło się w ciemności straszne mocowanie; żaden nie rzekł ani słowa; zgrzytały tylko zęby obu wrogów; oczy ich wpatrywały się w siebie z nietajoną wściekłością. Wtem udało się żołnierzowi wypchnąć swego wroga na krawędź fosy przydrożnej: Andrzej pośliznął się i wpadł w rów. Gdy się po chwili podniósł, żołnierz zdołał już zbiec; przystąpił tedy do drugiego, leżącego nieruchomo; potrząsnął nim i chciał podnieść; bezskutecznie; nie dawał znaku życia.

— Umarł! — powiedział Andrzej głośno.

Na dźwięk własnego głosu wstrząsnął się. Nagle uprzytomnił sobie własne, nędzne życie. Sumienie jego nie było wcale tym poruszone, że zabił człowieka, który nocną porą jak rabuś zakradł się do cudzej własności, za co go spotkała słuszna kara. Gdyby tak przed nim leżał ten drugi żołnierz, nieznanemu mu zupełnie, z rozbitym łbem, w kałuży krwi — nie byłby się tym zbytnio przejął. Boć to był ten, którego znienawidził, gdyż Marysia była dlań uprzejma, Marysia, siostra jego!... Teraz nagle po raz pierwszy z nieubłaganą jasnością uświadomił sobie swój przeklęty los. Przez cały dzień i pół nocy czatował z myślą o krwi i zemście. Czy chodziło mu o zemstę za kradzież winogron i męki zadane bydlęciu? Miał pomścić inne przestępstwo: ten człowiek ośmielił się wdać z dziewczyną... Marysia śmiała się, gdy do niej mówił... Marysia broniła go przed gniewem brata... To musiał odpokutować, dlatego jedynie leżał teraz w kałuży krwi, zaś nad nim stał nie stróż prawa, lecz morderca, potępiony przez własne sumienie.

Właśnie nadszedł Jaś i kroki jego przerwały ponure rozmyślenia Andrzeja. Nie rzekł ani słowa. Gestami dał swemu towarzyszowi do poznania, że należy trupa podnieść i zanieść do klasztoru kapucynów, znajdującego się tuż pod murami miasta. Dopiero pod bramą klasztorną, gdy ciało złożyli pod progiem, rzekł głucho:

— Pociągnij za dzwonek, Jasiu, i poczekaj, aż otworzą. Możesz im powiedzieć, że ja to zrobiłem. Bóg z tobą! Mnie nigdy już nie ujrzysz!

Odwrócił się i znikł w ciemnej ulicy.

<sup>44</sup>kurek — tu: część zamka broni palnej. [przypis edytorski]

<sup>45</sup>pardon (fr.) — przepraszam, łaski, przebac mi. [przypis edytorski]



Spieszno mu było bardzo, jednak kroczył powoli, ociężale. Gdy wszedł w ciemne arkady ulicy, wiodącej na plebanię, nie czuł rześistego deszczu, od którego cały przemókł. Usiadł na kamieniu i oparł głowę o filar. Tu za dnia przesiadywała starucha, piekąca w piecyku żelaznym kasztany. Ziemia wokół była pokryta lupinami, trzeszczącymi pod podkutymi butami Andrzeja. Jakże często zaspokajał tu głód, gdy mu duma nie pozwalała prosić własną matkę o jedzenie! A tam, kilka domów dalej, był sklep cukiernika, do którego Marysia zanosila zaoszczędzone grosze. Miał teraz wyraźnie przed oczyma wielkie biszkoptowe serce, pierwszą łakotkę, którą sobie kupiła. Chciała się z nim podzielić, a gdy odmówił, rzuciła biszkopt do rzeki, mimo że miała wielką chętkę zjeść go; płakała, rzucając łakocie do wody. Teraz jeszcze, myśląc o tych dziecinnych łzach, odczuwał triumfującą radość, iż posiadał tyle władzy nad jej serduszkiem. Lecz w tej samej chwili przeraził się własnej radości. Zmieszany, podskoczył z kamienia i począł iść wzdłuż pustych podsieni<sup>46</sup>, aż doszedł do domu, w którym mieszkał wikary. Brama domu była otwarta, sien<sup>47</sup> ze spróchniałymi krętymi schodkami tak ciemna, że groziła każdemu, nieznanemu terenu, runięciem ze schodów i złamaniem karku. Andrzej stąpał cicho a pewnie, znał każdy stopień i każdy zakręt. Nietoperze zafurkotały, gdy dostał się na poddasze, na którym znajdowała się kwatery księdza. Przystanął pod drzwiami i nasłuchiwał, czy nie usłyszy oddychania śpiącego. Potem zdecydował się wejść.

Izba była pusta; również i w sąsiedniej komórce, w której ongi sam mieszkał, nie było nikogo. Ogarnęło go uczucie, że teraz przez wszystkich jest opuszczony, przez Boga i ludzi; siadł na łóżku i począł rozmyślać o przeszłości, o latach, które minęły...

Wielki kocur, domownik wikarego, zakradł się cicho do łóżka, poznał swego dawnego przyjaciela i począł ocierać swój miękki grzbiet o jego piersi. Andrzejowi potoczyły się łzy z oczu; zanurzył twarz w jedwabistą sierść swego starego ulubieńca. To mu sprawiło ulgę. Podniósł się potem i po omacku zszedł ze schodów. Właśnie wybiła pierwsza godzina. Musiał się spieszyć, jeśli miał wykonać to, co przedsięwziął.

Skierował się w stronę zamku, w którym mieszkał Hirzer. Wikary był tam bardzo chętnie widziany; może przeciągnęły się zbyt długo jego budujące dyskusje z ciotką Anną lub zasiedziały się przy winie i pozostał na noc. Przeszedł więc znowu przez ulicę, ocienioną arkadami, przekradł się przez bramę miejską i wszedł na kamienną kładkę na rzece. Deszcz przestał padać, chmury zniknęły, z północnego wschodu powiał wiatr i wypogodził kawał nieba, tak że słaba poświata księżycy padała na fale, pieniące się i huczące w skalnym parowie. Oto po lewej stronie góra, kwadrans drogi, a mógłby dojrzeć okna, za którymi śpi siostra... A tu... kamienny parapet... ostatnia modlitwa i szybki skok... byłby wyzwolony z ziemskich łań. Lecz jakby pędzony lękiem przed obiema pokusami, przyspieszył kroku, niemal biegł po kamiennych płytach mostu i otarł sobie pot z czoła, gdy wstąpił na stok góry.

Dozorcy w winnicach wołali nań, gdy przechodził po drożynach, pnących się w górę. Machał im ręką w odpowiedzi. Coraz niecierpliwiej spoglądał wwyż, ku zamkowi, czarnej, nieforemnej masie kamieni, w której szumiały wierzchołki drzew kasztanowych i dokoła której płynęły bystre potoki w nizinę. Tą drogą nie szedł Andrzej od siódmego roku swego życia, gdy raz jeden odwiedził dzieci Hirzera, zaś w głębi duszy pragnął ujrzeć swoją cichą, bladą matkę chrestną, ciotkę Annę. Wówczas chłop skrzyczał go ostrymi słowami i zakazał się pokazywać kiedykolwiek na oczy. Odszedł oburzony i żadna siła nie byłaby go skłoniła, by przestąpił próg tego złego człowieka. Lecz w swym obecnym utraconiu zapomniał o dawnym gniewie.

Gdy się znalazł na górze, po męczącym błędzeniu w skałach, uczył wielkie zakłopotanie, gdyż nie znał rozkładu olbrzymiego zamczyska. Przystanął na chwilę bezradnie pod sklepioną bramą, wiodącą do wewnętrznego podwórza. Ujrzał wąskie drewniane schodki, przyklepione pod gołym niebem do zmurzałych murów, a prowadzące do sal jeszcze zamieszkałych. Lecz gdyby obudził wrogię sobie chłopca, a nie zastał wikarego — co powie, by usprawiedliwić nocne odwiedziny? W głowie miał taką pustkę, iż z trudem o tym wszystkim myślał. Już zamierzał pójść, nie dotarłszy do celu, gdy rozległo się szczekanie psa, uwiązane na łańcuchu we wgłębieniu muru.

Samotność, Ucieczka, Kot

Zamek, Spotkanie

Pies

<sup>46</sup> podsien a. podcień — pomieszczenia w dolnej części budynku, otwarte na zewnątrz. [przypis edytorski]

<sup>47</sup> sien — pomieszczenie prowadzące do wnętrza domu. [przypis edytorski]

Stary ten wartownik z biegiem lat stał się zbyt leniwy, by się ruszyć z miejsca, lecz w lekkim swym śnie słyszał każde stąpienie obcych nóg.

Natychmiast u wylotu drewnianych schodów otwały się drzwi i pojawiła się kobieca postać. Andrzej słyszał, jak uspokajała psa słowami, które mogły być zwrócone i do człowieka. — Cichaj! — mówiła — masz na stare lata niespokojne sny, nie dajesz spać ciotce Annie...

— Różyczko! — zawołał Andrzej.

Dziewczyna wzdrygnęła się i cofnęła ku drzwiom. Przez chwilę nasłuchiwała. Gdy po raz wtóry usłyszała swe imię, postąpiła kilka kroków i nachyliła się nad poręczą schodów.

— Kto tam w dole? — zawołała drżącym głosem. — To ty, Andrzeju?

— Ja. Czy wikary jest w domu?

Jakby nie dosłyszawszy pytania, pobiegła z powrotem do domu. Andrzej stał na miejscu, srodze się niecierpliwiąc. Wołał jej imię głośno, aż rozbrzmiewało echem w zawiasach zamkowych. Wreszcie wyszła z powrotem; zarzuciła na siebie chustkę; szybko zbiegła po stromych schodach.

— Andrzeju! Czy to możliwe? — szeptała. — Czego szukasz tu o tej porze? Czy co zaszło? A może Marysia albo...

— Szukam wikarego — przerwał. — Powiedz, czy jest tu lub gdzie go mogę zastać.

— Jest tu — odpowiedziała szybko. — Chodź! Zaprowadzę cię do niego, ojciec śpi mocno, nikt prócz ciotki nie dowie się.

— I ona też nie! Nie mam wiele czasu. Dobrze, żeś się zjawiła. Chciałem właśnie wracać.

Wyszli po schodach. Pies skomlał, lecz nie przeszkadzał w wejściu do domu.

— Śniłam o tobie, właśnie zanim przyszedłeś — rzekła dziewczyna, zapalając w kuchni lampkę. — Był to straszny sen. Leżałeś martwy na brzegu. Wyciągnęli cię z rzeki i usiłowali przywrócić do życia... Stałam obok i powtarzałam wciąż: „Dajcie mu spokój, to wszystko nie pomoże!”. Mróz szedł przez moje ciało i lękałam się własnego głosu, a jednak musiałam wciąż powtarzać: „To wszystko nie pomoże, on jest nieżywy...”. Wtem pies zaszczekał i oto stoisz żywy przede mną, Andrzeju, chwała Bogu!

— Sen może się sprawdzić — mruknął przez zęby, zaś głośno dodał: — Żyję jeszcze, Rózo, ale muszę stąd pójść, wkrótce się dowiesz, dlaczego. Tej nocy jeszcze muszę pójść, po rozmowie z księdzem.

Dziewczyna upuściła z rąk lampkę, oliwa polala się na ziemię. Jej delikatna, blada twarz zaróżowiła się, piękne piwne oczy patrzyły z przestachem, jakby zobaczyła upióra.

— Chcesz pójść precz? Czy to możliwe, Andrzeju? Opuścisz Marysię i nas wszystkich? A kiedy wrócisz? Co się stało? Czy matka znowu...

— Milcz o matce! — przerwał szybko. — Nie pytaj, wszystko się wyjawia. A teraz powiedz, gdzie ksiądz śpi. Nie mam ani chwili do stracenia.

Podniosła z podłogi lampkę i szła przodem przez korytarz, z którego białe tynkowane ściany spoglądały na nich prastare brązowe figury świętych. Wąskie kamienne schody prowadziły do górnych pięter; wszędy dolatywał zapach pięknych, dojrzałych jabłek, leżących w kącie korytarza. Stary zegar ścienny tykał twardo długim wahadłem, myszy umykały do swych dziur, spłoszone zbliżającymi się krokami.

— Tu! — powiedziała dziewczyna, wskazując na wielkie staroświeckie drzwi. Dała mu do ręki lampkę i zatrzymała się pod drzwiami, czekając, aż wejdzie. Przez chwilę brała ją pokusa, by przyłożyć ucho do dziurki od klucza. Potem potrząsnęła smutnie głową i wróciła do pustej kuchni, by tu czekać, aż powróci.

On zaś stał czas jakiś w olbrzymiej sali, wyłożonej ciemnymi drewnianymi płytkami, do której przylegała nyża<sup>48</sup> z łóżkiem wikarego. Nie mógł się zdecydować na obudzenie pogrążonego w spokojnym śnie. Po raz pierwszy uczuł, że drogi jego nauczyciel i duchowy opiekun nie ma tej władzy, by uśmierzyć burzę, szalejącą w jego duszy. Sprowadziła go tu żądza schronienia się ze swym ciężko grzechami objuczonym sumieniem do pewnego portu, za jaki uważał rozum i serce księdza. Lecz spokój, rozpostarty na tej cicho oddychającej, lekko zaróżowionej twarzy, zaniepokoił go. Po cóż wyznawać swą nędzę i biedę, i ból, jeśli nikt nie może dopomóc?

<sup>48</sup>nyża (daw.) — nisza. [przypis edytorski]

Zabierał się już do wyjścia z sali tak cicho, jak niepostrzeżenie wszedł, gdy śpiący, widocznie pod wpływem blasku lampki, poruszył się na łóżku i przez sen, z zamkniętymi oczyma, mówił:

— Tegoroczne wino będzie dobre, ale zeszłoroczne było lepsze. Pilnuj uważnie, Andrzej...

— Przewielebny księże — powiedział chłopak podniesionym głosem — to ja tu jestem, proszę o wybaczenie, że przeszkodziłem we śnie. Ale nie chciałbym pójść w świat, nie pożegnawszy się z księdzem.

Ksiądz, przerażony, podskoczył i patrzył rozwartymi oczyma na nocnego gościa.

— Na rany boskie! — zawołał — Co się stało? Andrzej... czy to ty naprawdę, tu na górze, na zamku Goyen, o tej porze, z twarzą raczej podobną do trupa niż do żyjącej istoty?

— Tak jest, księże, podobnym do trupa. Muszę uciekać jak Kain<sup>49</sup>, zabiłem człowieka, nie ma dla mnie więcej spokoju na ziemi.

— Andrzej! — krzyknął przerażony ksiądz — Ty za...

Słowo zamarło mu na ustach; siedział, drżąc, na łóżku, ręce mu opadły na czerwoną koldrę.

Andrzej począł krótkimi słowami opowiadać dzieje ostatniego dnia i nocy. O siostrze nie wspomniął ani słowem.

Zakończył tym, że na razie zamierza schronić się do klasztoru i prosi księdza o list polecający, by go nie odprawiono z kwitkiem, gdy bez żadnych dokumentów zapuka do furty. Potem zamilkł i czekał niecierpliwie, co na to odpowie jego opiekun duchowny.

Lecz ten patrzył przed się, pogrążony w myślach.

— To niedobry sposób, synu — powiedział wreszcie, a twarz jego przybrała wyraz troski. — Sądy zażądają wydania ciebie, a że nie masz święceń, więc cię z pewnością tu sprowadzą. Ale cóż mogliby ci złego zrobić, gdybyś wcale teraz nie uciekał? Nie ty przecież byłeś stroną atakującą, uderzyłeś w ciemności; biedna dusza ohydneho zbroja nie może cię nawet oskarżyć przed tronem Boga. Pójdiesz więc spokojnie do władz, zrobisz doniesienie i będziesz oczekiwał wyroku sądowego. Pomyśl, gdybyś uciekł z kraju, co by rozpoczęła twa siostra, która żadnej podpory nie będzie miała, gdy matka oczy zamknie.

Zar buchnął chłopcu do twarzy; odwrócił głowę.

— Nie, nie zmienię postanowienia — powiedział głucho. — Zostać tu, tłumaczyć się, ponieść karę, być przedmiotem litości! Raczej od razu do piekła... Boże, wybacz grzeszne słowa! Jeśli, przewielebny ojcze, nie raczycie mi dopomóc, powiem: z Bogiem; i pójdę swoją drogą!... Jest coś — począł, ociągając się — nie mogę księdzu powiedzieć... co mnie stąd wypędza... zdaje mi się, że udusiłbym się, gdybym dłużej żył między tymi górami... A gdyby nawet wobec władz wszystko dobrze poszło, nie pozostałbym tu, poszedłbym i tak do klasztoru, gdyż Pan Bóg zakazał kłaść kres własnemu życiu, co zresztą najchętniej zrobiłbym. Ale przecież dokądś muszę pójść, gdzie bym był dla wszystkich jak umarły i pogrzebany i też sam zapomniał, że są jeszcze ludzie na świecie.

Ksiądz zmarszczył czoło, ściągnął ku górze brwi i pokiwał głową.

— Cóż to za tajemnicze sekreta? Nawet swemu spowiednikowi ich nie wyznasz?

— Tak jest, powiem — rzekł Andrzej, czerwieniąc się coraz bardziej — ale dopiero, gdy będę w klasztorze. I dlatego błagam usilnie, księże, dopomóż mi do odzyskania spokoju i nie odprawiaj mnie bez listu polecającego.

— Niech i tak będzie, biedny synu — rzekł ksiądz litościwie. — Ongi czyniłeś wcale dobre postępy w studiach duchownych, a z łaciny coś przecież zostało w twój pamięci. Polecę cię ojcu Benedyktowi (wymienił nazwę jednego z klasztorów kapucynów, położonego wysoko w górach i z powodu ostrości klimatu mało odwiedzanego). Pokłoń mu się ode mnie; jutro pošlę za tobą list, który wyjaśni mu twoje położenie. A teraz polecam cię świętej opiece Jezusa Pana i łask pełnej Matki Jego, zasię gdyby ci serce kazało, Andrzej, zbyle się twych tajemnych bólów i mąk, wiesz, że mi możesz napisać i że zawsze u mnie znajdziesz chętny posłuch i współczucie. Bóg z tobą, synu!

Z widocznym wzruszeniem podał mu rękę, którą młodzieniec unosił do swych warg. Andrzej uczuł nagle wielką ulgę w sercu i powoli zamknął za sobą drzwi.

<sup>49</sup>Kain (rel.) — bohater biblijny, syn Adama i Ewy; zabił młodszego brata, Abła. [przypis edytorski]

Chociaż posuwał się z wielką ostrożnością i cicho wzdłuż sklepionego korytarza i kamiennych schodów — nie chciał bowiem spotkać starego Hirzera — na dole wysłuchiwały przecież każdego jego kroku dwa bijące serca; wąska, blada ręka otworzyła drzwi izby, znajdującej się obok kuchni i przedwcześnie postarzała twarz śledziła blask światła, padającego z wąskich schodów. Ciotkę Annę przebudziły szmery w kuchni i wezwała do siebie dziewczynę.

— Nie chce nikogo widzieć prócz księdza — powiedziała Róża.

— Muszę się z nim zobaczyć — brzmiała cicha, ale stanowcza odpowiedź.

Ciotka szybko się ubrała i, nie mówiąc więcej ani słowa, usiadła na krześle przy łóżku i czekała, aż nocny gość zejdzie ze schodów. W ciasnej izdebce nie było innego światła prócz słabego odbłasku księżyca, przenikającego przez małe szybki. Krucyfiks nad łóżkiem, klęcznik w kącie, skromne mebelki, przystające do ścian, wszystko to wionęło melancholijną tajemniczością, rozpościerającą się dokoła staropanieństwa, dokoła rezygnacji z wszelkich nadziei i radości życia. Ta izdebka widziała wiele łez i słyszała wiele wyszeptanych modlitw. Róża ujrzała i teraz, że ciche wargi ciotki poruszają się, i nie śmiała przerywać pobożnych myśli.

Wtem zabrzmiały na górze kroki; ciotka powstała z krzesła i podeszła do drzwi.

— Andrzej! — zawołała w sien.

Młodzieniec przystanął na schodach niezdecydowany. Chciał bez dalszej przeszkody ruszyć w drogę, a jednak nie mógł przejść mimo, tym bardziej że nie miał więcej w życiu ujrzeć tych cichych, pełnych miłości oczu...

— Nie śpisz, matko chrzestna? — powiedział wreszcie. — Prosiłem przecież Różę...

— Sama się obudziłam. Wejdziesz, Andrzej — ujęła go za ramię i wprowadziła do izdebki. — A teraz powiedz mi, co zamierzasz, co zaszło, że o tej porze tu przybyłeś. Wszak jesteś dozorcą w winnicy, jakże mogłeś opuścić swój posterunek?

Trzymała go za rękę i mówiła prędko, jakby chciała swe wewnętrzne obawy jak najszybciej ukoić jego odpowiedzią.

Spoglądał ponuro na podłogę i zastanawiał się, ile ze swych tajemnic może jej zdradzić. Od lat wielu nie zamienił z nią słowa, lecz wiele o niej przemyślał i niejednokrotnie z utęsknieniem wyobrażał sobie, jakby to dobrze było spotkać ją kiedy samą i tak wprost od serca powiedzieć, jak bardzo ją kocha i jak mu źle z tym, że musi jej unikać. I teraz czuł też, że jeśli jest na świecie człowiek, któremu by mógł powierzyć swe tajemne bóle, to tym człowiekiem jest tylko ona! Ale Róża stała u okna, czas naglił, a zresztą... cóż by to pomogło? Również i ta świątobliwa osoba nie posiadała takiej władzy, która by mu przywróciła spokój duszy.

— Matko chrzestna! — rzekł — ksiądz wikary jutro ci opowie, dlaczego muszę opuścić te okolice. Od urodzenia byłem nieszczęśliwym człowiekiem, bez ojca i matki. Najlepiej, gdy umrę dla świata, zanim się stanę złym człowiekiem. Dlatego też chcę pójść do klasztoru; cieszę się, że cię przedtem mogłem jeszcze zobaczyć. Bo zawsze czułem dla ciebie miłość i szacunek; Bóg wie, że byłoby lepiej ze mną, gdybym był mógł częściej cię widzieć i mówić z tobą. Gdyż jedynie przy tobie było mi dobrze na duszy i spokojnie jak nigdzie na świecie. Dziękuję ci, matko, żeś mnie wtedy, gdym był bezradnym dzieckiem, trzymała do chrztu, i proszę cię, abyś się i w przyszłości modliła, by się Pan Bóg nade mną ulitował. Bo, zaprawdę, trzeba mi tego.

Uściskał jej rękę i chciał opuścić izbę. Lecz stara zatrzymała go.

— Do klasztoru? Nigdy cię nie ujrzę? Muszę wszystko wiedzieć, Andrzej! Wyjdz, Różo. Przynies szklankę wina, jest bładny i zimny jak śmierć. Na rany boskie, co się stało?

— Nie wysyłaj Różę, matko chrzestna! — rzekł ze strachem w głosie; czuł bowiem, że gdyby z nią został sam, zwabiłaby mu na język wszystko, co miał ukryte w głębi serca; taki bowiem wpływ wywierał jej łagodny głos i jej boleściwie spoglądające oczy.

— Nie gniewaj się, matko chrzestna, nie możesz niczego zmienić, a gdy kiedyś pomyślę, że moimi zgrzyzotami również i ciebie zmartwiłem, będę się czuł tym bardziej nieszczęśliwy. Jeśli mi chcesz wyświadczyć łaskę, to złóż mi rękę na głowę i pobłogosław mnie, bo żegnamy się na wieki.

Przyklęknął, a ona uczyniła, o co prosił. Podniosła go potem, a gdy ze łzami w oczach spojrziała w jego bladą twarz, nie mogła się powstrzymać, przycisnęła go do piersi i długo całowała w usta i oczy. Przez czas jakiś stali tak przytuleni do siebie, a w chwili błogości

wzajemnego uścisku zapomniała stara panna o tym, co przyszłość przynieść miała, zaś młodzieniec o tym, co przeżył w przeszłości.

— Matko chrestna! — rzekł wreszcie — nigdy nie zapomnę, jaka dobra dla mnie byłaś. Nie zapominaj i ty o mnie. Koguty wkrótce poczną pisać. Czas już, bym poszedł.

— Andrzeju, moje biedne dziecko! — szepnęła stara i opadła na łóżko, kiedy przekraczał próg. Nagle podniosła się, myśl jakaś błysnęła w jej głowie, zawołała go po imieniu, jakby mu miała jeszcze coś do powiedzenia; potem wzrok jej padł na krucyfiks nad łóżkiem, potrząsnęła smutnie głową i ociężałym krokiem poszła ku oknu, by poprzez ciemności nocy wypatrywać jego kroków, jego postaci.

— Do klasztoru! — szepnęła. — Miłosierny Boże, bądź wola Twoja...

Na dworze, pod drzwiami domu stała Róża, która przedtem już wykradła się z izdebki.

— Andrzeju! — powiedziała, gdy chłopak się do niej zbliżył — jesteś bez kapelusza i kurtki. Wzięłam z rzeczy brata ubranie i czapkę. Jest w Innsbrucku i nie potrzebuje tych rzeczy.

— Dziękuję ci, Różyczko. I ty jesteś dobra, jesteś jak ciotka. Myśl o mnie, gdy mnie nie będzie. Rzeczy ci kiedyś odeślę.

Dziewczyna milczała i walczyła z naporem łez.

— Czy Marysia wie o tym? — rzekła wreszcie.

— Nie. Możesz jej powiedzieć. Pozdrów ją ode mnie po raz ostatni, a potem... dobranoc na zawsze, Różyczko!

Dotknął lekko jej drżącej dłoni i zszedł po drewnianych schodach; przeszedł przez ponure podwórze i znikł w bezgłośnie nocy, rozpościerającej się nad górami i parowami. Powietrze było chłodne i czyste i zwiastowało pogodny, wesoły dzionek.

\*

Wczesnym rankiem ksiądz wracał z zamku do miasta. Obok niego szła Róża; miała ona ciotce Annie przynieść bliższe wiadomości o krwawym zajściu nocnym, zaś Marysi ostatnie pozdrowienie zbiega.

Na dole, w Meranie, wrzało. Lud gromadził się na ulicach i z nietajoną złością mówił o niecznych czynach niekarnego żołdactwa; imię Andrzeja było na ustach wszystkich. Gdzie dojrzano mundur, tam uciszały się rozmowy, lecz twarze stawały się groźniejsze, a dłonie zaciskały się kurczowo.

Wikary szedł z rosnącym niepokojem w duszy. Uspokoił się nieco, gdy dowiedział się u kapucynów, że Włoch żyje; po wielu godzinach nieprzytomności otworzył oczy i usta, zaś lekarz spodziewa się wkrótce przywrócić go do zdrowia. Również i w dowództwie otrzymał pomyślne wiadomości. Panowała tam tendencja zatajenia całej sprawy, o ile by zbieg cicho siedział w klasztorze lub zgoła przywdział habit na stałe. Obiecano stosować ostrzejszą dyscyplinę, by się podobne wykroczenia nie powtórzyły. Towarzysz zbójcekiej wyprawy siedział w areszcie, chłop, któremu winnicę częściowo zniszczono, miał otrzymać odszkodowanie. Wszystko zwracało się ku dobremu, toteż zatroskany wikary mógł przesłać ciotce Annie dobre wieści, zaś do klasztoru dwa listy, jeden do swego przyjaciela, przeora, drugi do Andrzeja, w którym odwoływał się do jego sumienia, by nie zwlekał, jeśli przygniata go ciężar grzechu, wypowiadać się listownie przed duchownym opiekunem swej młodości.

List taki nie przyszedł jednak ani w najbliższym czasie, ani też po upływie tygodni i miesięcy. Przeor przysłał uprzejmą odpowiedź, że Andrzej Ingram rzeczywiście przybył do klasztoru i nosi już strój laika<sup>50</sup>, bowiem wielokrotnie już, i to bardzo stanowczo, wyraził życzenie pozostania w klasztorze do śmierci. W późniejszym liście, nadeszłym w Boże Narodzenie, przeor wspominał krótko, że nowicjusz Andrzej zachowuje się ku ogólnemu zadowoleniu, wykonuje swą służbę cicho i skromnie, w godzinach wolnych od pracy studiuje księgi klasztorne, jednak nie daje się namówić do napisania jakiego bądź listu. O tym, czy się wypowiadał z tajemnicy, nie było oczywiście w piśmie przeora ani słowa.

Ciotka Anna, otrzymawszy od wikarego pierwsze wiadomości, zamknęła się na cały dzień w swej izdebce, by bez przeszkód postem i modlitwą ubłagać niebo o łaskę dla swe-

Ksiądz, List

<sup>50</sup>laik —tu: zakonnik bez święceń. [przypis edytorski]

go chrześniaka. Różyczka chodziła po domu z zaczerwienionymi oczyma, a nawet matka, czarna Marysia, zdradzała pewne odruchy uczuć, oskarżając się wobec domowników o złość i surowość wobec biedaka, którego z domu wypędziła. Tylko siostra, która przecież najwięcej straciła wskutek jego zniknięcia, najmniej przejmowała się jego losem. Utrzymywała, że chce jej się śmiać; gdy sobie wyobrazi Andrzeja w sukni zakonnej, z ogolonym łbem. Nie wierzy też, by rzeczywiście był w klasztorze. Nie ma on wcale usposobienia do samotnego życia, a wszystko to wymyślono po to tylko, by zwieść sąd wojskowy. Siedzi zapewne w górach, poluje na kozice, pije wino i zjawi się pewnego pięknego dnia bez długiej kapucyńskiej brody i w świeckim stroju, w jakim sobie poszedł.

Dopiero gdy w Boże Narodzenie nadszedł list od przeora, zaniepokoiła się. Przez trzy dni ani razu się nie zaśmiała, potem zaś zasiadła, by napisać list do brata, pełen żartobliwych słów, zakończony jednak poważnym upomnieniem, by wkrótce wrócił, gdyż „bardzo go potrzebuje”. Pokazała list Róży, z którą teraz się częściej spotykała; odkąd bowiem Andrzej poszedł do klasztoru, chłop na Goyen nie miał nic przeciw obcowaniu swych dzieci z samotną dziewczyną. Róża przeczytała list w milczeniu. Wydawał się jej niezbyt serdeczny.

— Jeśli na taki list nie wróci — rzekła Marysia — to ma kochankę gdzieś tam w górach.

— Co pleciesz? — odpowiedziała Róża. — Posłaniec z Algundu widział go w sukience zakonnej.

Marysia zbladła.

— Gdyby to było prawdą, zagryzłabym się na śmierć.

Chciała powiedzieć: nikt temu nie jest winien, tylko — matka; lecz nie powiedziała. Usłyszała bowiem w drugiej izbie kaszel i jęki matki, która zimą pośliznęła się na lodzie i odtąd leżała chora. Noc w noc trawiła ją gorączka, wyrывała z niej jakieś dzikie i dziwaczne słowa; na szczęście córka zasypiała i nie słyszała ich. Wikary pilnie przychodził, ciotka Anna była także kilkakrotnie na Küchelbergu, gdy się już miało ku wiosnie, a stan czarnej Marysi coraz bardziej się pogarszał.

Z ciotką przychodził zawsze Franek Hirzer, który już wrócił z Innsbrucku. Podczas gdy obie staruszki były w izbie, rozmawiał przed chałupą z jasną Marysią; stale się śmiała, aczkolwiek mówił zawsze bardzo serio.

— Marysiu — zapytała pewnego dnia Różyczka — czy to prawda, że z Frankiem doszliście do porozumienia? On tak mówi, życzyłabym sobie tego, ale jakoś nie chce mi się wierzyć.

— Dlaczego nie? — powiedziała Marysia i pogładziła sobie z obojętną miną włosy. — Kogoś przecież muszę wreszcie wziąć, a Franek jest taki dobry jak każdy inny. Jednak to jeszcze nie ostatnie słowo, wiesz przecież, Różo, że nie mogę opuścić matki. Nie spieszo mi też. Jest tak nudno na świecie, odkąd Andrzej poszedł, a gdy Franek przychodzi i powiada mi coś ciekawego, i siedzi na ławce, i patrzy na mnie tak zakochany, iż sobie końca nosa omal nie spali fajeczką, mogę się przynajmniej porządnie uśmieć.

Róża przysłuchiwała się w milczeniu. Nie pojmowała, jak miłość może się komu wydawać tak wesoła.

Nadeszła wiosna, łąki się zazieleniły, kasztany miały nowe pędy, rzeka toczyła olbrzymie wody i huczała pod groblą tak głośno, iż słycać było jej szum w małej osadzie na Küchelbergu, gdzie na łożu czarna Marysia spędzała ostatnie noce, a córka bezsennie czuwała przy umierającej matce. Nie doniosła wcale bratu, że z matką jest tak źle. Wiedziała, że nie przybędzie, a też i matka nie okazywała najmniejszej ochoty ujrzeć go przed śmiercią, choć w gorączce wielokrotnie wspominała jego imię. Ostatnie słowo z jej ust, gdy w burzliwą noc kwietniową kończyła życie, brzmiało: Andrzej...

Drżąc ze strachu, córka pozostała z umarłą matką w izbie. Zamknęła jej oczy, odmówiła kilka pacierzy i wyszła z bijącym sercem w noc wiosenną. Stała sama na górze, spoglądała w daleką dolinę Anizy<sup>51</sup> i czuła się tak biedna i samotna, że zaczęła rzewnie płakać. Ogarnął ją nagły gniew, gdy pomyślała o Andrzeju. Sam siedzi bezpiecznie w celi klasztornej, a bezradną siostrę, która nikogo na świecie tak nie kocha jak jego, zostawia w udreće i mękach! Deszcz padał coraz mocniej, zimny wiatr objął się o stoki gór. Drżąc,

List

Matka, Choroba

Śmiech, Miłość

Matka, Śmierć, Strach,  
Samotność, Gniew

<sup>51</sup>Aniza — rzeka w Austrii. [przypis edytorski]

poszła sierota w stronę szopy, w której chłopiec miał ongi swe legowisko. W ciemności położyła się na to samo miejsce i, myśląc o tym, głośno płakała. Była głodna i odczuwała zabobonny lęk w obecności trupa matki. Wreszcie zasnęła na barłogu z kukurydzianej słomy...

Gdy obudziła się późnym rankiem, groza ostatniej nocy uleciała zupełnie z jej pamięci; musiała sobie dopiero przypomnieć, że matka naprawdę umarła. Mimo że się przymuszała, nie czuła prawdziwej żaloby; tylko jakieś niesamowite uczucie wstrzymywało ją od przekroczenia progu domu. Lecz wreszcie przemogła się i weszła. Obecny był ksiądz wikary i przyjaciółka jej, Róża; była rada, że zbywa się dalszych trosk i trudów. — Następnego dnia po pogrzebie siedziała znów w słońcu na ławce przed domem i śmiała się, patrząc na figle młodych kotków, igrających na ziemi z badylem kukurydzianym. W czternaście dni potem siedziała na lekkim wózku obok Różyczki; Franek zajmował przednie siedzenie i powoził; jechali drogą wiodącą do Vinschgau, a każdy przechodzień oglądał się za piękną, jasną dziewczyną, przybraną w strój żałobny, jednak wesołymi oczyma rozglądającą się w przepychu młodej, bujnej wiosny.

Dopiero gdy ujrzała w górze klasztor, na gołym, ciemnym złomie granitowym, otoczonym mizernym kosodrzewem, stała się cicha i poważna i nie odezwała się ani słowem więcej do Róży, która również w milczeniu spoglądała na ponurą wieżę, zasnutą u wierzchu zwałami chmur. U stóp góry znajdowała się nędzna wioszczyna, nieotoczona wcale szlachetnym kasztanem, winoroślą i figowym drzewem, jak wesołe wioski dokoła Meranu. Na ten widok ścisnęło się serce Marysi. Nigdy nie była dalej niż na odległość jednego dnia jazdy, wyobrażała sobie zawsze, że im dalej, tym świat jest wspanialszy. Mocno zasmucona, zsiadła z wozu, gdy zatrzymali się przed drzwiami mizernej szynkowni. Nie chciała wejść do środka; nakłaniała Różę, by natychmiast poszła z nią drożyną, pnącą się w górę do klasztoru. Koniecznie bowiem chciała rozmówić się z bratem, zanim noc zapadnie. Franek pozostał przy koniach. Już dawniej niezbyt chętnie szukał jego towarzystwa; lepiej żeby mu się Franek nie pokazywał teraz na oczy.

Więc dziewczęta poszły same, równym, pewnym krokiem chłopskim, trzymając się za ręce i nie mówiąc ani słowa. Dopiero gdy zbliżyły się do szarego prastarego klasztoru i mogły już dostrzec trawę, rosnącą na dachu, Marysia przystanęła, spojrzała wzrokiem zalekniionego dziecka na mury i, głęboko oddychając, rzekła:

— Czy mogłabyś tu mieszkać, Różyczko?

Przyjaciółka potrzęsła tylko głową.

— Serce pękłoby mi tutaj — mówiła dalej Marysia — nie ma zieloności ani winnic, ani pól uprawnych. Zobaczysz, nie jest prawdą, że tu był przez zimę. Nie zastaniemy go wcale. Kto wie, gdzie przebywa na dalekim świecie!

I na to Róża nie odpowiedziała. Wiedziała dobrze, że go tu zastaną, i lękała się, nie wiedząc, dlaczego. Gdy pociągnęły za dzwonek u bramy klasztornej i zapytały furtiana<sup>52</sup> o Andrzeja Ingrama, staruszek spojrzał badawczo na piękne dzieci.

— Proszę mu powiedzieć, by wyszedł — rzekła szybko Marysia — przyszedł ktoś z Meranu, ale proszę nie mówić mu, ojciec, kto.

Usiadły na kamiennej ławce obok bramy i czekały.

— Więc to prawda, Różyczko, że on jest tu?! Ale jak mógł tu wytrzymać!

Ręką posuwała po gorącym czole i zaczęła potem porządkować na sobie sukienkę, by ukryć niepokój. Róża siedziała oparta o mur, ręce złożyła na kolanach, oczy przymrużyła, jakby oślepiła ją blask zachodzącego słońca.

Nagle zadzwieczało u bramy i z okrzykiem: Andrzeju! To ja! — Marysia rzuciła się na szyję wychodzącego. W tej chwili cofnęła się przerażona. On to czy nie on? W ciągu jednej zimy zestarzał się o lat dziesięć... Stał przed nią w milczeniu i spoglądał wzrokiem ponurym, zalekniionym, jakby wyczekującym, czy się ta zjawia rozplynie w nicość czy też on sam przebudzi się ze snu... Zawsze myślała, jakie to będzie śmieszne, gdy go ujrzy w zakonnym habicie. Teraz jednak była bliższa płaczu niż śmiechu.

— Andrzeju — rzekła wreszcie — patrzysz na mnie tak dziko... Czy źle zrobiłam, że przyszłam do ciebie? Jest tu też Różyczka. Nie witasz się z nią? Franek nas przywiózł; jutro chcemy wrócić, tu tak pusto i smutno; jak mogłeś tu wytrzymać? Widać, że ci tu źle

<sup>52</sup>furtian — odźwierny klasztoru. [przypis edytorski]

było, jesteś blady i chudy, jak byś wyszedł z grobu. Ale to się zmieni! Tu powietrze takie surowe, musisz wrócić do Meranu, wikary napisze do przeora, rok jeszcze nie upłynął, a potem zamieszkaś w naszej chatce; czy wiesz, Andrzeju, że matka umarła?

Gdy mówiła, ustępowało jej zakłopotanie, rysy wygładziły się i poweselały, tak że ostatnie słowa, wiadomość o śmierci, wypowiedziała niemal pogodnym tonem. On również zdołał się uspokoić i powiedział swym zwykłym, tak dobrze jej znanym głosem:

— Dziękuję ci, Marysiu, że przybyłaś, i tobie, Rózo. Że matka zmarła, to nie zmienia położenia; o tym, by wrócić i znów żyć w Meranie, nie ma mowy; raczej pójdę stąd dalej, do klasztoru we Włoszech, a może nawet we Francji. Masz rację, tutejsze powietrze nie służy mi.

Spoglądał ponuro na szare skały.

— Andrzeju — zaczęła znowu — nie wolno ci tak mówić, jeśli nie chcesz, bym była smutna i zła. Bez ciebie nie było dla mnie radości przez całą zimę, a teraz, gdy tylko mogłam, wszystko zostawiłam i przyjechałam do ciebie, a ty mówisz o wyjeździe do obcych krajów, jak bym cię wcale nie obchodziła. Gdy słyszę to, myślę sobie, że matka miała może rację, jeśli stała powtarzała w gorączce, że nie jesteś wcale jej dzieckiem, że zabrała cię innej kobiecie, by się pochwalić pięknym chłopcem, gdy sama była taka brzydka. O tym godzinami całymi majaczyła, a gdy teraz widzę, jak miało o mnie dbasz, zaczynam się naprawdę lękać, że nie jesteś moim bratem, jeśli możesz być dla mnie taki zimny, bez serca.

Mimo woli cofnął się o krok i wybałuszył na nią oczy.

— Marysiu! — wyjąkał — czy to prawda? Czy możesz przysiąc, że tak istotnie matka mówiła?

Chciała go ująć za rękę i posmutniała, gdy szybko cofnął swą dłoń. Spojrzał na Różę, która pozostała na ławeczce, by im nie przeszkadzać w rozmowie. Potem popatrzył na Marysię takim wzrokiem, że zadrżała.

— Rózo, mam z Marysią coś do omówienia, wkrótce wrócimy.

Skinął na siostrę, by szła z nim, i szybko poszedł wzdłuż muru klasztorowego; otworzył furtkę do ogrodu, w którym jeden ze służebnych braci sadził warzywa. Zupełnie się teraz zmienił, twarz jego płonęła, odmłodził znowu o dziesięć lat, kroczył żwawo jak wówczas, gdy stróżował w winnicy.

Gdy weszli głębiej w ogródek, zwrócił się ku niej.

— Marysiu — rzekł drżącym głosem — powiedz raz jeszcze, co słyszałaś od matki, wszystko, i jeśli życzysz sobie zbawienia swej duszy, nie dodawaj nic ani nie ujmuj jednego słowa. Życie i śmierć od tego zależą.

Ujął ją za rękę i przyciskał gorączkowo.

— Nie wiem, dlaczego tak dziwnie mówisz — rzekła spokojnie. — Więc i cóż, jeśli tak powiedziała. A powiedziała tak, słowo w słowo, i to nie raz. Ale wiesz przecież, że cię nienawidziła. Może tak mówiła po to tylko, byś nie dostał części spadku, który chciała w całości dla mnie przeznaczyć. A może dlatego, że żalowała krzywd, które ci stałe wyrządzała. Chciała wmówić w siebie, żeś nie jej dziecko, gdyż zawsze przecież obchodziła się z tobą jak z cudzym. Ale cóż ci na tym tak zależy?

— Przypomnij sobie — nalegał — czy nie powiedziała, kto jej oddał dziecko? Czy nie było kogo przy tym, gdy mówiła? Czy zawsze mówiła tylko w gorączce czy też, gdy budziła się w nocy i myślała, że śpisz; wszak często mówiła do siebie, gdy ojciec jeszcze żył.

— Kto jej oddał dziecko? Nie, o tym nigdy nie mówiła — rzekła dziewczyna i widoczne było, że bardzo się wysiła, by sobie wszystko dokładnie przypomnieć. — Czekaj, oto wpada mi na myśl, że wikary siedział raz obok jej łóżka, gdy właśnie znowu tak majaczyła, wyskoczyła wtedy z łóżka i zażądała sukien, powiedziała, że chce pójść do dziekana<sup>53</sup>, do sądu, do cesarza dotrze, by wszędzie ogłoszono, że nie jesteś jej synem. Przybiegłam z kuchni i widziałam, że ksiądz stał obok niej, wielce przestraszony, i powstrzymywał ją, a gdy ujrzał mnie, pochylił się nad nią i mówił jej długo coś do ucha, czego nie mogłam dosłyszeć; potem uspokoiła się i leżała cicho. Czy to mówiła w gorączce czy też sobie

<sup>53</sup> *dziekan* — tu: duchowny zarządzający dekanatem lub stojący na czele ciała kolegialnego. [przypis edytorski]



tak tylko wmawiała, cóż to cię może obchodzić, Andrzej? A gdyby tak było naprawdę, czyż miałbyś powód mniej mnie kochać? Czyż nie byliśmy bratem i siostrą, odkąd pamięć nasza sięga, i czy to od razu miałyby się zmienić? Andrzej, ja się nie zmienię. A choćby nawet sam cesarz ogłosił, jak to matka chciała, pozostałbyś i nadal dla mnie bratem i twoja byłaby osada i winnica, i wszystko. A zresztą, ja tam przecież nie pozostanę. Musisz wiedzieć, że zmówiłam się z Frankiem, w jesieni będzie wesele i zamieszkam potem w Goyen. Nie jesteś przecież zły, że cię wprzód nie zapytałam?

Zaręczyny

Nie śmiała nań spojrzeć, gdy to mówiła, nie wiedziała sama, dlaczego, lecz wydało się jej teraz wielkim grzechem, że dała słowo Frankowi, i w tej chwili chętnie byłaby je cofnęła; wiedziała bowiem, że nie był przyjaźnie usposobiony do brata. Stała drżąca i pokorna jak dziecko, oczekujące bury. Lecz on uporczywie milczał. Było jej coraz smutniej na duszy. Wolałaby, by ją skrzyczał, wytłumaczyłaby się i byłoby potem znów dobrze. Lecz ta śmiertelna cisza między nimi była straszna. Wielkie krople łez pojawiły się w jej oczach i potoczyły po młodej twarzy. Wtedy przerwał milczenie.

Milczenie

— Marysiu, czy uczyniłaś to chętnie czy też namawiano cię tak długo, byś go wzięła, aż wreszcie powiedziałaś: tak?

Patrzała nań nieśmiało i wciąż jeszcze ze łzami w oczach.

— Andrzej, wybac mi. Sama nie wiem, jak to się stało. Wzięli mnie do Goyen, gdy matka umarła, spałam z Różą, obchodzili się ze mną jak z rodzonym dzieckiem. I ciotka Anna też powiedziała, że Franek jest dobrym chłopcem i gdybym go wzięła, byłoby to najlepiej dla wszystkich. On był taki we mnie zadurzony, a ciebie nie było, bym się mogła zapytać i poradzić.

— A gdybym był powiedział: nie, czy bardzo martwiłabyś się? — zapytał szybko.

Położyła obie ręce na jego szyi i spojrzała nań z tkliwą miłością.

— Ja go przecież tak nie kocham jak ciebie, chętniej uczynię to, co ty mi powiesz, niż to, czego on żąda. Ale stało się, Andrzej, i obraziłabym go śmiertelnie, gdybym teraz wróciła i powiedziała: nie chcę cię. Bądź zatem dobry i wróć z nami, ciotka Anna kazała cię pięknie pozdrowić, mówiła, byś przyszedł, ma ci wiele do powiedzenia, a mnie się zdaje, że choć jest taka pobożna i święta, byłaby rada, gdybyś zrzucił habit i znów był pięknym, smukłym Andrusiem, jak dawniej. Zrób to dla mnie, nigdy nie zaznam chwili radości, gdy pomyślę, że żyjesz tu tak smutnie, a gdy ci się co przytrafi, choroba lub cośkolwiek, mnie nie będzie, nie będę się przy tobie krzątała i tobą opiekowała. Przyrzeknij mi, Andrzej, że co najmniej na wesele przyjdiesz i z ciotką wszystko wtedy omówisz.

Mówiąc to, głaskała go po twarzy, a on stał z przymrużonymi oczyma; lekkie drganie jego ust zdradzało wewnętrzną walkę.

— Teraz ani słowa więcej! — rzekł wreszcie, głęboko oddychając. — Jutro rano przyjdę do gospody, by cię jeszcze raz zobaczyć. Wtedy powiem ci, co się ma stać. Bądź dobrej myśli, Marysiu! Stanie się, jak Bóg każe. Dobranoc!

Nie spojrział więcej na nią, przeszedł przez ogród, potem wzdłuż muru i zniknął w bramie klasztornej, nie obróciwszy się ani razu. Ona spoglądała za nim i w głowie jej toczyły się ciężkie myśli; rozpamiętywała jego słowa i usiłowała odgadnąć, jak się zapatruje, co zamierza. W wielkim strapieniu opuściła wreszcie ogród i zbliżyła się do Róży, która na jej widok uczuła bolesne ukłucie w sercu. Więc Andrzej nawet nie pomyślał, że i jej należy się dobre słówko, kilka słów powitania?

— Nie wiem, co on myśli — rzekła Marysia. — Zdaje mi się, iż nie bardzo jest kontent<sup>54</sup>, że biorę Franka. Ale co mam zrobić? Jutro rano przyjdzie i powie mi swoje zdanie. Nawet na mnie nie spojrział, a o powrocie do domu nie chce słyszeć. Ale dlaczegoż miałabym się tym tak przejmować? Niech robi, co chce, a ja tak samo. A jednak od małości przywykłam go słuchać; był zawsze dla mnie taki dobry. Ach, dlaczego do tego wszystkiego doszło!

Zeszły z góry klasztornej i spędziły resztę dnia w milczeniu i zakłopotaniu. Franek nigdy nie był zbyt rozmowny, dalsze zaś losy Andrzeja obchodziły go bardzo mało. Pił z kilku chłopcami w szynkowni, gdy dziewczęta dawno już leżały w łóżkach.

Spała tylko — Marysia. Róża przez całą noc nie zmrużyła oka.

<sup>54</sup>kontent (daw.) — zadowolony. [przypis edytorski]

Zanim dzień zaświtał, usłyszała kroki na podwórzu, zbliżające się do okna izdebki, w której spały. Psy zaszczekały, jednak wkrótce się uspokoiły. Serce jej biło, szybko wyskoczyła z łóżka. Marysia spała spokojnie.

Kroki zbliżyły się do samego okna i ktoś zapukał cicho w szybę. — Maryś! — zawołał znany jej głos.

— Nie śpię, Andrzeju — szepnęła Róża. — Marysia śpi. Czy mam ją obudzić?

— Tak, Różyczko. Niech się prędko ubierze i wyjdzie; mam jej wiele do powiedzenia, zanim odjedziecie z powrotem do domu.

Minął kwadrans, potem cicho otwarły się drzwi, wiodące z oberży na podwórkę, i wyszła Marysia; twarz jej wyrażała zarówno lęk, jak i ciekawość.

— Aleś wcześniej przyszedł! Dzień dobry. Jeśli przychodzisz z dobrą nowiną, Andrzeju, będę bardzo rada.

— Zapnij szczerze płaszcz. Jest chłodno, a ty nie jesteś przyzwyczajona do tutejszego powietrza. Chodźmy stąd.

Usłuchała i pokazała mu roześmianą twarz, wyzierającą spod ciepłej chustki. Milczenie dokoła, obcość krajobrazu, pustka w górach i brat obok niej w kapucyńskim habicie — wszystko to wydało się jej jakby pocieszną awanturą i pobudzało do śmiechu.

Lecz on ujął ją poważnie za rękę i poprowadził w milczeniu przez podwórze. Ze stajni dobiegały już odgłosy koni, szarpających łańcuchy, drób otrząsał pierze z nocnego zniechęcenia, kogut okrzykiwał przedwcześnie rano. Lecz ludzie w niskich chałupach spali jeszcze. Wszyscy — prócz młodej, biednej dziewczyny, która boleśnie spoglądała na podwórze przez zabrudzoną szybę, a potem, dygocąc z zimna, a mimo to płonąć wewnętrznym żarem, położyła się do łóżka, by przeleżeć wśród rozmyślań do rana.

Słońce było już wysoko, a rodzeństwo nie wracało. Franek siedział w szynkowni. Na stole stała butelka, z której co chwila nalewał do szklanki. Czoło miał nachmurzone. Co pewien czas wybiegał na drogę i spozierał, czy nie ujrzy narzeczonej. Wreszcie poszedł do stajni, wyprowadził konie i zaprzągnął, klnąc Andrzeja w duchu i na głos. Róża milczała, było jej na sercu smutno i ciężko; niech się stanie, co się ma stać, dla niej skończyły się wszelkie nadzieje...

Wreszcie, około dziesiątej, braciszek klasztorny przyniósł list, który Andrzej jeszcze w nocy napisał do Róży. Pisał w nim, że ślubował pielgrzymkę do świętego obrazu, by modlić się za duszę matki. Marysia będzie mu towarzyszyła; niech nie oczekują jej powrotu, tylko wrócą do domu. Marysia sama przybędzie do Meranu.

Gdy Franek przeczytał list, uderzył pięścią w stół, aż szklanki zadźwięczały, i w porwywie pierwszego gniewu chciał gonić za Andrzejem. Lecz w liście nie była wymieniona nazwa kościoła, do którego Andrzej pielgrzymował, a braciszek klasztorny wiedział tylko tyle, że przeor dał bratu Andrzejowi urlop. Zatem nic innego Frankowi na razie nie pozostawało, jak pocieszyć się tym, że innym razem i przy najbliższej sposobności wywrze swą złość na Andrzeju.

Była to smutna droga powrotna, którą Róża przebywała, siedząc obok rozwścieczonego brata, wciąż od nowa pomstującego ohydnyimi wyrazami na Andrzeja i kilkakrotnie powtarzającego przysięgę, że po ślubie z Marysią zatrzśnie przed nim drzwi, jak to zresztą przez długie lata robił ojciec. Od samego początku był przeciwny tej podróży do nicponia, znajdy, którego sobie nawet wyobrazić nie może jako szwagra. Ale kobiety ubrały to sobie, a zwłaszcza ciotka Anna. Niech tylko Marysia wróci, a powie jej też kilka słówek! Ciotce zaś nie daruje tego nigdy! Przede wszystkim jednak winna jest Róża. Nie powinna była z rana pozwolić, by Marysia z nim poszła.

Róża słuchała tego wszystkiego, ale niezbyt się tym przejmowała. Bo o wiele dokuczliwsza troska uciskała jej serce.

\*

Przyszło lato, winorośle na Küchelbergu dawno już przekwitły, grona pęczniały i czerwieniły się, pierwszy zbiór fig skończył się — a wciąż nie było śladu po obu pielgrzymach. Gdy zaś minęło winobranie i nie wrócili, poczęto po kątach szeptać, że nigdy już para zbiegów się nie pojawi. Z biegiem czasu przestano się nimi zajmować. Z początku, oczywiście, stanowili przedmiot ożywionych dyskusji. Dziwne bowiem było nie to, że rzekomo

List, Pielgrzym, Gniew,  
Rozczarowanie

Lato, Wino, Ucieczka,  
Wieś, Góry

udali się na pielgrzymkę, gdyż pątnicy<sup>55</sup> wśród Tyrolczyków<sup>56</sup> są bardzo liczni i ludek ten chętnie pielgrzymuje do miejsc świętych, lecz fakt, że tuż za klasztorem wszelki ślad po nich ginął. Pasterz kóz z wioszczyzny u stóp klasztoru widział, jak wspinali się powoli po ścieżce wiodącej w góry. Para ta wydała mu się bardzo dziwna: mnich rozmawiał żywo z piękną blondynką i oboje szli coraz wyżej skalną drożyną. Gdy po kilku tygodniach na żądanie wikarego czyniono poszukiwania we wszystkich okolicznych wioskach, nie mógł sobie żaden góral i żaden oberżysta przypomnieć, by taka para zapukała kiedykolwiek do drzwi. Zażądano pomocy policji, również z nielepszym skutkiem. Rodzeństwo znikło, jak by góra się rozwarła i pochłonęła ich.

Gdy wikary opowiadał o tym na zamku Goyen, słowa jego wzbudzały sprzeczne uczucia. Stary Hirzer pił spokojnie wino i rzekł, że właściwie jest bardzo kontent, gdyż zapewne już nigdy nie będzie kłopotu z tymi Ingramami! Gdyby ta lekkomyślna dziewczka, ta Marysia, kiedykolwiek jeszcze ośmieliła się przekroczyć jego próg, wtedy — zaklął tak szpetnie, jak się dotąd nigdy nie odważył w obecności księdza. Synowi nakazał, by zaraz następnego dnia przybrał się paradnie, udał do pobliskiej wsi i prosił o rękę bogatej młodej wdowy, której włości bardzo wygodnie są położone i poważnie zwiększyłyby ich majątek. Lecz Franek nie traktował sprawy z taką zimną krwią. Zadurzył się naprawdę w Marysi; jedynie myśl o niej zdołała leniwą jego naturę rozruszać. Ciotka Anna znikła na szereg dni w swej izdebce, przywdziała strój żałobny, gdyż była przekonana, że przytrafiło się im w górach nieszczęście, a może też popełnili samobójstwo. Płakała całymi dniami i nie chciała nikogo widzieć prócz księdza i Róży. Z nią spędzała bezsenne noce, niszając różaniec między bladymi palcami, spędzając czas to na modlitwie, to na długich rozmowach z dziewczyną. Ta natomiast stanowczo utrzymywała, że oboje żyją, i starała się przekonać o tym ciotkę. Że jednak kiedykolwiek wrócą, w to nie wierzyła...

Najspokojniejszy był wikary. Ba, zdawać by się mogło, że przez ucieczkę Andrzeja spadł mu ciężar z piersi. Przychodził pilnie do zamku, wysłuchiwał życzliwie i dobrodusznie zdania każdej z osób i skierowywał prędko rozmowę na tegoroczne zbiory i wyjątkową dobroć wina — temat, który doskonale opanował i któremu stanowczo dawał pierwszeństwo nawet przed teologicznymi dyskursami z ciotką.

Przyszły dni listopadowe, pusty domek na Küchelbergu przybrał szatę zimową wśród ogołoconych z zieleni winnic, w mieście było huczno i gwarno, gdyż był to właśnie dzień jarmarku na bydło. Zbliżał się sobotni wieczór, a wikary, postanowiwszy więcej nie wychodzić z domu, zdjął ze ściany swe stare skrzypce, by w mroku coś rzewnego zagrać, zanim służąca wraz z wieczerzą wniesie do pokoju lampkę. Kocur leżał w fotelu i mruczał z ukontentowania; w piecu trzeszczał ogień, gdyż zapowiadała się zimna noc; od kwiatów na oknie płynął słodki zapach, który nos duchownego z rozkoszą wchłaniał. Wyczarowując ze swych skrzypiec najdelikatniejsze, fłażoletowe<sup>57</sup> tony i krocząc do taktu między czterema ścianami swej izby, przemyślał, że przecież do pełni szczęśliwości niczego mu nie brak, tym bardziej że jeden z kolegów w Sankt Valentin<sup>58</sup> przysłał mu próbkę szlachetnego czerwonego wina, jakie bogobojni bracia uprawiają w słonecznej dolinie u stóp góry Ifinger<sup>59</sup>, buteleczkę, która dziś wieczorem miała uświetnić jego skromną wieczerzę.

Wtem usłyszał pukanie do drzwi; przekonany, że to służąca z miłym gościem z Sankt Valentin, zawołał: „Wejść!” i nie przerywał dalszej gry. Ale smyczek wypadł mu z ręki, gdy drzwi się rozwarły i jak cień z innego świata stanął przed nim Andrzej.

— Proszę się nie bać, księżo, to ja — rzekł młodzieniec, wchodząc do pokoju. — Proszę patrzeć, kot mnie poznaje, nasrożyłby się, gdybym był widziadłem. Byłbym księdza uprzedził, ale nie ma poczty tam, skąd przybywamy...

Pochylił się nad kotem, by ukryć wzruszenie. Z całej jego postaci promieniowała łagodność, która zmieniła go do niepoznaki.

<sup>55</sup>pątnik — pielgrzym. [przypis edytorski]

<sup>56</sup>Tyrolczycy — mieszkańcy regionu Tyrol w Alpach Wschodnich, w dolinie górnego Innu, górnej Adygi oraz górnej Drawy. [przypis edytorski]

<sup>57</sup>fłażoletowy — od: fłażolet, delikatny dźwięk wydobywany na instrumentach smyczkowych i szarpanych. [przypis edytorski]

<sup>58</sup>Sankt Valentin a. St. Valentin, a. San Valentino — miasto w kraju związkowym Dolna Austria w powiecie Amstetten lub włoska miejscowość nad jeziorem Garda. [przypis edytorski]

<sup>59</sup>Ifinger a. Punta Ivigna — szczyt w Sarntaler Alpen w północnych Włoszech, w regionie Trydent-Górna Adyga, w Południowym Tyrolu. [przypis edytorski]

Zima, Muzyka, Wino,  
Ksiądz

Spotkanie, Wino, Prawda

Ksiądz przystanął na środku pokoju. Był wzburzony do najwyższego stopnia. Zdołał tylko powiedzieć:

— A Marysia?

— Ona też tu jest. Ksiądz się o wszystkim dowie, nie mam nikogo na świecie, a jeśli ty, przewielebny ojcze, nie zdołasz mi poradzić, to przepadłem na tym i tamtym świecie.

Wtem zabrzmiały na schodach kroki służącej. Ujrawszy Andrzeja, przeraziła się, lecz wkrótce poczęła radośnie wykrzykiwać, co jej zresztą nie przeszkadzało w szykowaniu stołu do kolacji i ustawianiu butelki i szklanek. Przez ten czas obaj mężczyźni mieli możliwość zebrać swe myśli i przygotować się do rozmowy, która miała nastąpić. Wreszcie służąca wyszła. Chętnie byłaby wysłuchała odpowiedzi na mnóstwo pytań. Lecz ułękła się niezwykle uroczystej miny swego pana, który zajął miejsce za stołem, kilkakrotnie otarł sobie czoło kraciatą chustką i w milczeniu nalał pierwszą szklankę czerwonego walentynera, nie wychylając atoli<sup>60</sup> jeszcze ani kropli wina. Na języku bowiem czuł gorzki przedsmak słów, które niebawem miały paść.

Andrzej przerwał wreszcie milczenie.

— Proszę, pozwolić mi usiąść, przewielebny ojcze. Dziś szliśmy przez góry czternaście godzin, a trapił mnie strach o biedną kobietę i głód, i zgryzoty... kolana się podę mną uginają. Gdyby ksiądz wiedział, cośmy przeszli, nie patrzyłby tak surowo na mnie. Zawsze byłeś, księżę, pełen miłosierdzia i nigdy nie odprawiałeś pokutującego grzesznika bez pocieszenia i pokrzepienia.

Słowa te, pełne pokory, wywarły na wikarym głębokie wrażenie. Podniósł szklankę, spojrzął na czerwień wina poprzez światło lampy, wypił powoli a niewiele i podał szklankę swemu wychowankowi, po raz pierwszy patrząc mu wprost w twarz.

— Wypij, Andrzeju, zrobi ci dobrze. Jest to winko walentyńskie; dopiero przed czterema tygodniami wyszło spod tłoczni; dziś właśnie je otrzymałem.

Andrzej wziął szklankę, skłonił się z uszanowaniem przed księdzem i wypił duszkiem. Potem rzekł:

— Dziękuję, księżę dobrodzieju. Przyszedłem zapytać... a ksiądz musi mi dać odpowiedź: czy jestem synem Marii Ingram, niech ją Bóg przyjmie do swej łaski, czy nie jestem jej synem?

Po czym wstał. Oparł zaciśnięte pięści o stół i skierował wzrok na swego duchownego przyjaciela.

— Synu, jeśli mi przyrzekniesz, że nie będziesz więcej zadawał pytań, odpowiem ci na twe pytanie. Twoja matka wydała na świat tylko jedno dziecko, Marysię. Gdy więc to już wiesz, ukontentuj się tą wiadomością i nie pytaj dalej, gdyż więcej powiedzieć zabrania mi obowiązek posłuszeństwa, a zresztą gdybyś więcej wiedział, na nic by ci się przydało.

Napięcie na twarzy młodego człowieka nagle zelżało, rysy jego powlokły się teraz wyrazem beznadziejnego smutku.

— Dziękuję, księżę — rzekł — to mi nie na wiele jest przydatne, gdyż o tym wiedziałem. Gdyby mi nawet nikt tego nie był powiedział — ona moją matką nie była! Ja zadowolilibym się tym, boć przecież, jeśli moi rodzice mogli się beze mnie obejść, to i ja muszę sobie sam dawać radę. A zresztą zawsze to czyniłem. Ale biedna Marysia, księżę, nie ma ni za dnia, ni w nocy spokoju, gdyż jej się wciąż zdaje, że wszyscy ją okłamali; matka, gdyż mnie znienawidziła, ja, gdyż pokochałem ją innym niż braterskim uczuciem... nie, księżę, tu pomoc może tylko rzetelne świadectwo i pieczętka, w przeciwnym bowiem razie lękam się, że ta biedna istota długo nie pociągnie... strach patrzeć, jak sobie to wzięła do serca, jak się jej mózg wysila i męczy, a ksiądz wie przecież, że ma ona w głowie jakiś słaby punkt, z którym nie poradzi...

Usiadł znowu z wyrazem wielkiego zmęczenia. Wikary jadł i pił mechanicznie, raczej jakby chciał ukryć zmieszanie, niż by mu smakowały potrawy.

— Powiedz, jak do tego doszło. Potem obmyślimy, co się da zrobić. Gdzie tkwiłeś przez tyle miesięcy, gdyś nagle znikł jak kamień w wodzie?

— Nie w habicie! — rzekł chłopak, a twarz jego nieco poweselała na wspomnienie niebezpiecznych przejść i podstępów, którym wszystkich przechytrzył. — Otóż, księżę, gdy mi Marysia powiedziała, że jej matka przyniosła mi z polonin czy Bóg wie skąd,

Ucieczka, Podstęp, Grzech,  
Miłość

<sup>60</sup>atoli (daw.) — jednak. [przypis edytorski]

jako znajdę, miałem uczucie, że opadają ze mnie rozżarzone łańcuchy, które stale za sobą wlokłem, a które mnie również i w klasztorze nie opuszczały. Gdyż nawet przy świętej spowiedzi nie mogło mi przejść przez usta, co przez lata całe przecierpiałem z powodu Marysi i że nie przeżyłbym tego, gdyby ją inny był poślubił. Wiedziałem przecież, że jest to grzech śmiertelny, gdybym naprawdę był synem jej matki, ale nie mogłem się z tego otrząsnąć, bo było to silniejsze niż odrobina mego rozumu, niż wiara, niż wszystko, czego się u księdza nauczyłem i w świętych księgach wyczytałem. Gdy zaś teraz stało się oczywiste, że przez długie lata niepotrzebnie się dręczyłem, że wcale nie ma grzechu w tym, jeśli dziewczynę kocham ponad własne życie, od razu poweselałem i powiedziałem sobie: musi być moja, choćby sam cesarz nas chciał rozerwać!...

...Tego wieczora nie dałem jeszcze nic po sobie poznać, siedziałem w celi, a z trudem wstrzymywałem się, by nie krzyknąć z radości i śpiewać tak głośno, by słychać było aż w Meranie! Musiałem jednak załatwić jeszcze mnóstwo spraw i napisać list do Róży, więc tak zesza noc. A potem, jeszcze przed świtem, byłem przed karczmą i zabrałem ją, niemającą najmniejszego pojęcia, co się ma stać. Zachowywałem się też z początku zupełnie spokojnie i rozsądnie, aż uszliśmy spory kawał drogi; mówiłem tylko o pielgrzymce, a ona nie była wcale zła, że ją ze sobą zabrałem. Bardzo była rada, że ujrzy szmat kraju. Gdy jednak znaleźliśmy się wysoko w górach, a ona z coraz większą ciekawością pytała, dokąd idziemy, kazałem jej na chwilę usiąść, poszedłem za skałę i wkrótce wróciłem, ale już nie jako mnich, lecz w kurtce, spodniach i wszystkim, co nosiłem tej nocy, gdy z Goyen uciekałem; bowiem rzeczy należących do Franka wcale nie odesłałem. Wówczas głośno się zaśmiała i powiedziała, że podobam jej się tak o wiele lepiej niż w długiej sukni zakonnej. Potem zjedliśmy zapasy, które wziąłem ze sobą na drogę. Nagle stała się cicha i smutna, widocznie wszystko to wydało jej się jakieś dziwne, gdyż poczęła się natarczywie dopytywać, a gdy nareszcie otwarłem przed nią moje serce i powiedziałem, że nigdy więcej nie włożę habitu, że wcale nie jesteśmy pątnikami, idącymi do świętego obrazu, że prowadzę ją w daleki świat jako moją kobietę — przeraziła się i poczęła łkać. Ja wtedy mówiłem do niej bardzo łagodnie, by tylko nie dostała znowu ataku nerwowego; zaś gdy jej łzy zaczęły coraz wolniej spływać, tłumaczyłem jej, że nie ma sensu wracać do Meranu i każdego z osobna zapytywać, czy nie ma nic przeciw temu. Ludzie mieliby wtedy więcej do gadania, niż gdybyśmy wcale nie wrócili, zaś gdybyśmy kiedyś zatęsknili za naszym domkiem i zjawili się jako mąż i żona, wszyscy musieliby się z tym faktem pogodzić. Niechże pomyśli o starym Hirzerze i o Franku; co by to był za krzyk, gdybym nagle przed nimi stanął i powiedział: Marysia jest moja i nie dam jej nikomu! A ciotka Anna, a ksiądz dziekan, a całe miasto, które nas znało od urodzenia jako brata i siostrę, a pisanina i gadanina w sądzie i u wszystkich diabłów! Wreszcie rzekłem: Jeśli ci jednak Franek jest miłszy niż ja, powiedz śmiało, jeszcze czas wrócić i pożegnać się na wieki...

... Wtedy rzuciła mi się, płacząc i śmiejąc się, na szyję i powiedziała, że moja wola jest i jej wolą. I sama mi pomogła potoczyć ciężkie kamienie na suknię zakonną, by jej nikt nie znalazł i nie wyszpiegował kierunku naszego marszu. Tego samego dnia uszliśmy przez wiele godzin olbrzymi kawał drogi, zawsze zupełnie samotni; czasem spoglądaliśmy w tył, w okolicę, w której się znajduje Meran, i żartowaliśmy z Franka, jadącego teraz bez narzeczonej do domu, gdzie zeń zapewne wszyscy będą kpili. Myślałem też o tobie, księżu, że pewnie weźmiesz mi to za złe; i o mojej chrestnej matce, i o Róży, która była zawsze dla mnie taka dobra. Ale to niedługo trwało. Gdy spojrzałem na Marysię obok siebie, którą wolno mi było teraz pieścić i całować do woli, a która cierpliwie się temu poddawała — tak, księżu, ty oczywiście nie wiesz, co się w człowieku dzieje, gdy tak sam jest pod niebem ze swą ukochaną... ale wiem na pewno, że nie uważałbyś tego za ciężki grzech i życzyłbyś nam tej odrobiny szczęścia, które niestety trwało tak krótko...

Zamilkł i patrzył przed się w głębokim smutku. Wikary odsunął talerz, westchnął z całego serca i, napełniwszy szklankę, podał ją spowiadającemu się. Chłopak wypił, westchnął również i począł cichym, miarowym głosem:

— Pierwszą noc przespaliśmy w szałasie na poloninie; pasterz nakarmił nas i nie pytał o nic, łatwo mógł przecież odgadnąć, co nas ze sobą łączy. Obiecał nam następnego ranka, że nikomu nie powie, iż ugościł nas w swym schronisku; byliśmy więc dobrej myśli i jeszcze szczęśliwsi i bardziej zakochani niż dnia poprzedniego. Okolica była mi zupełnie obca; wiedziałem, że, wędrując zawsze na zachód, dojdziemy wreszcie do Szwajcarii,

Góry, Ucieczka

gdzie ludzie mają wolność i mogą żyć, jak chcą, i nie ma też policji. Chciałem tam na razie pozostać; również nie lękałem się, by na granicy zapytano nas o paszport, gdyż tu, gdzie szliśmy, hen, w górach, od szalasu do szalasu, nie docierają strażnicy graniczni. Toteż ani razu nas nie zatrzymano. Muszę zaś jeszcze wspomnieć, że drugiego dnia przyszliśmy na miejsce, na którym wznosi się stromy grzbiet, o wiele wyższy niż Mutspitze<sup>61</sup> lub Ifinger. Namawiałem Marysię, by ze mną wyszła i z góry oglądała olbrzymią połąć świata. Miałem zupełnie inny zamiar; bo zaprawdę nie o to mi chodziło, by widziała lodowce. Na wierzchołku stoi bowiem krzyż, a na nim Chrystus Pan, z gruba rzeźbiony kozikiem przez jakiegoś pasterza. Gdy znaleźliśmy się na szczycie, a Marysia spoglądała cicho i zadowolona dokoła, ująłem ją lekko za rękę i przykląknęłem z nią pod krzyżem. Najpierw pomodliliśmy się... Chciała powstać. Wtedy powiedziałem: Zostań na klęczkach, Marysiu, to jeszcze nie koniec... I po łacinie powiedziałem wszystko, czego trzeba, by zawrzeć rzetelne małżeństwo; zdjąłem jej z ręki srebrny pierścionek i dałem jej swój, i położyłem swoje ręce na jej głowie, a jej ręce na swojej i wyrzekłem słowa błogosławieństwa; myślałem, że trzeba sobie umieć radzić; jeśli jest dopuszczalny chrzest z konieczności niepoświęconą wodą, to niechże raz będzie i ślub taki, kiedyś to się dodatkowo zrobi porządnie i przepisowo. I ona sobie to pewnie myślała, bo pozwoliła mi robić, co chciałem, i klęczała pobożnie pod krzyżem. Gdy skończyłem swą łacinę, ucałowałem ją serdecznie i powiedziałem: Oto jestem teraz twym mężem, a ty moją żoną, i tylko śmierć może nas rozdzielić!... Skinęła głową i w oczach jej ukazał się błysk radości i szczęścia... Powstaaliśmy i jeszcze przez chwilę staliśmy cicho na szczycie, i było nam tak cudnie na duszy w tej wielkiej ciszy i tajemniczości, gdyśmy spoglądali poprzez dziesiątki mil w kraje, osady, rzeki, a nikt nie był przy nas, jak tylko nasz Pan Bóg, w którego obliczu ślubowaliśmy sobie wierność do śmierci...

Ślub

Znacie przecież, księżo dobrodzieju, Marysię; zawsze chętniej się śmieje, niż płacze, a głowy jej stale czepiają się zbytki. Ale przez cały nasz dzień ślubu nie śmialiśmy się ani razu, and też nie mówiliśmy wiele ze sobą; szliśmy tak uroczyście, jakby góry te były wielkim kościołem. Po drodze Marysia zrywała kwiaty i przypięła mi do kurtki weselny bukiet, po czym uplotła z nich wianuszek i położyła sobie na głowę. Mieliśmy też jeszcze pieniądze, toteż kazaliśmy sobie w najbliższym szalasiu podać, co tylko pasterz chciał wydać ze swych zapasów. Było to więc wcale zacne wesele i ani ona, ani ja nie myśleliśmy o przeszłości ni też o tym, co przyjąć miało.

Dopiero gdy się skończyły pieniądze, musieliśmy o tym pomyśleć; minął już co najmniej tydzień, Szwajcaria była jeszcze daleko, gdyż nie trzymaliśmy się jednej drogi, tylko szliśmy, gdzie się nam spodobało. Pierwszego wieczora, gdyśmy stwierdzili, że kieszenie nasze są puste, a chciałem właśnie z Marysią schronić się na noc w stogu siana, dojrzałem samotną sadybę i pomyślałem: może tu spróbujemy przenocować. I rzeczywiście dostaliśmy tu schronienie, jeno że z jednej nocy zrobiło się pół roku. Osada należała do pewnej wdowy; miała właśnie poślubić swego pierwszego parobka, gdy go na śmierć przywaliła sosna, którą nieostrożnie w lesie podcinał; wdowa nosiła po nim żałobę jak po swym pierwszym mężu. Gdy jej opowiedziałem, że musiałem uciekać, gdyż zabiłem żołnierza, zaś siostra moja — podałem ją za siostrę, gdyż wdowa nie byłaby się zgodziła na przyjęcie do służby pary małżeńskiej — zatem siostra moja nie chciała mnie samego puścić w drogę, a teraz jesteśmy bez grajcara<sup>62</sup> przy duszy, zaofiarowała mi służbę u siebie, przy czym i dla siostry znajdzie się robota. Naturalnie ucieszyło nas to bardzo, tylko Marysia czyniła mi potem wyrzuty, że nie przedstawiłem jej jako żonę, i długo musiałem jej perswadować, zanim się pogodziła. Zostaliśmy więc; lato minęło i nie mogliśmy się na nic uskarżać. Bo że wpadłem właścicielce w oko i zrobiła mnie pierwszym parobkiem, zapewne, by mnie potem i wyżej awansować, to mnie mało obchodziło; wszak mogłem zawsze powiedzieć: nie...

Wdowa, Praca

Nagle stało się coś, co mnie zupełnie pozbawiło spokoju. Było to przed tygodniem, kosilem na górnej łące trawę i ujrzałem wdrapującą się w górę Marysię. Przeraziłem się wyrazu jej twarzy... Pada przede mną i zaklina mnie, ręce podnosząc do góry, bym się nad nią ulitował i zabił ją, gdyż żyć nie może, mając taki grzech na sumieniu; nosi pod

Grzech, Dziecko, Strach

<sup>61</sup>Mutspitze a. Monte Muta — szczyt alpejski na północ od Merano. [przypis edytorski]

<sup>62</sup>grajcar — dawna drobna moneta austriacka. [przypis edytorski]

sercem dziecię, a w nocy pojawiła się jej matka i szepnęła: „Andrzej jest jednak moim synem, a twoje i jego dziecko będzie przeklęte na wieki...”.

Proszę sobie wyobrazić, księżo, jak się przeraziłem; powtarzała to z uporem, więc wreszcie i ja się uląknę, boć przecie nie mam żadnych pewnych i niezbitych dowodów, że tak jest, jak przypuszczamy. Boże! Pomyślałem, gdyby to było prawdą! Mróz mnie obleciał i przez chwilę naprawdę myślałem, widząc u mych stóp tę biedną, załamującą ręce, kobietę: a może lepiej byłoby pójść z nią i, stanąwszy gdzieś nad głęboką przepaścią, zamknąć oczy i wskoczyć z nią wprost do piekła!... Ta desperacka myśl opuściła mnie oczywiście wkrótce; uspokoiłem się, jeszcze raz wszystko rozważyłem i wreszcie powiedziałem sobie stanowczo: to niemożliwe! Ale biedna kobieta nie dała się pocieszyć. Już nie pragnęła śmierci, gdyż byłoby to podwójnym grzechem, ze względu na dziecko, zażądała tylko, byśmy wrócili do Meranu, bo tu wszystko się musi rozstrzygnąć. Myśl o tym była mi bardzo przykra; wiedziałem przecie, że w domu nie obejdzie się bez krzyku i awantur. Ale Marysia była coraz bardziej markotna i patrzyła jej z oczu tak strasznie, a ponadto właścicielka osady coś wymiarkowała i zaproponowała mi, bym sam został, zaś siostrę odesłał — więc nie pozostało nic innego, jak spakować manatki i rozpocząć ciężką, twardą drogę pokuty...

Nie chcę, księżo, nużyć cię opowieścią, jak nędznie się czułem, gdy przybywaliśmy na miejsca, w których przed sześciu miesiącami zażyliśmy szczęścia i rozkoszy, zaś obecnie biedna kobieta w każdym poszumie wiatru słyszała głosy oskarżenia i potępienia. Jeśli grzeszyliśmy, ruszając w świat jako mąż i żona bez pytania kogokolwiek i bez błogosławieństwa kościoła, to stokrotnie odpokutowaliśmy to w drodze powrotnej...

...Proszę pomyśleć: gdyśmy znowu przybyli na szczyt, na którym z wiosną ślubowaliśmy sobie, nie było już krzyża... Pewnie wiatry go zerwały i strąciły w przepaść. Ale Marysia srodze się tym przejęła, gdyż sądziła, że wówczas był to majak szatański, który nas skusił do grzesznego ślubu; padła mi zemdlona w ramiona i przez godzinę musiałem ją cucić...

Zamilkł i cały się zatrzęsł na wspomnienie przeżytych cierpień.

Wikary wstał i zaczął długimi krokami przemierzać izbę, od czasu do czasu wyjmując niuch tabaki z brzoźowego pudełka. Ostatnią szczyptę trzymał długo w palcach i przystanął przed wielkim sztychem<sup>63</sup>, wyobrażającym Magdalenę na pustyni, jedyną ozdobę pustych ścian jego pokoju. Nie miał odwagi spojrzeć spowiadającemu się w twarz, gdyż miał mało nadziei, by wszystko szczęśliwie załatwić.

— A gdzie ona teraz? — zapytał wreszcie.

— Na górze, w naszej chatce na Küchelbergu. Przed kilku godzinami przybyliśmy, przez wieś Tyrol, ludzie poznawali nas i wskazywali palcami; gdy szedłem tu ulicą, widocznie wszyscy już wiedzieli, bo mnie omijali, jak bym był tknięty zarazą. Tam na górze biedna kobieta siedzi i czeka, bym cię, księżo, sprowadził; a jeśli nie znajdziesz dla niej pociechy, to marny będzie jej koniec. Bo z oczu jej patrzy rozpacz i szal; rozum jej jakby wisiął na cienkiej nitce. Jeszcze jedno szarpnięcie, a zleci w otchłań...

Powstał również, jak by chciał przez to pobudzić milczącego księdza do powzięcia decyzji. Lecz ten stał wciąż przed sztychem, mimo że przecie nie mógł rozeznac w cieniu, padającym na ścianę, ani jednej kreski na obrazku. Dopiero gdy dzwon na wieży wydzwonił godzinę ósmą, poruszył się. Odwrócił się od ściany, kazał Andrzejowi pocze-kać i, zabrawszy lampę ze stołu, zaczął schodzić ze schodów, coraz niżej i niżej, aż znikł ostatni blask światła.

Nie minął pacierz, a światło znowu pojawiło się na schodach; wikary wszedł z wielką flachą, napełnioną żółtawym winem; niósł je na ramieniu jak niemowlę. Za nim szła służąca z czystymi szklankami.

— Patrz, oto prawdziwy pocieszyciel; zanim innych pocieszymy, należy wzmocnić własnego ducha. Pij, biedaku! Poznajesz je przecie. Wino to stało się wytrawniejsze w tych dziesięciu latach, dojrzałsze, patrz, jakie klarowne.

Spojrzał najpierw w czyste złoto poprzez światło, a potem trącił się szklanką ze strapi-onym młodym przyjacielem.

Grzech, Kara

Piętno

Wino

<sup>63</sup>sztych — rycina wykonana dowolną techniką rytowniczą. [przypis edytorski]

— Spodziewam się, że wszystko będzie dobrze — rzekł, gdyż sama bliskość szlachetnego napoju przepajała go optymizmem — *Gaudete in Domino semper*<sup>64</sup>, napisane, toteż pij, synu, a potem napełnimy flaszkę dla biednej pokutnicy, bo i jej się to przyda.

Nie mówili do siebie ani słowa więcej; wikary chodził po pokoju tam i z powrotem jak generał, obmyślający w swym namiocie plan bitwy; od czasu do czasu popijał wielkimi haustami i za każdym razem mocno stawiał szklankę na stole. Gdy butelka była do połowy wypróżniona, zdjął szybkim ruchem ze ściany skrzypce i począł, wciąż krocząc tam i z powrotem po pokoju, wygrywać starą włoską kantatę<sup>65</sup>, upstrzoną wieloma trudnymi fioriturami<sup>66</sup>. Pieśń tę grał zwykle w ważne i uroczyste dni, była to zresztą również ulubiona pieśń kocura, który, radośnie mruczając, skoczył na stół, okrążył lampę i zielonymi oczyma patrzył na Andrzeja, jakby wzywał go, by również był dobrej myśli. Lecz ten wielce się niecierpliwił; tylko uszanowanie wobec księdza i poczucie własnej winy wstrzymywało go, by nie przerwać koncertu przypomnieniem, że Marysia liczy tam minuty i czeka na pociechę.

Wreszcie ksiądz odłożył skrzypce, wytarł czoło połą wyszarzałego surduta i prędko ubrał się w swą czarną suknię. Służąca weszła, wlała resztę wina do flaszkę, którą Andrzej włożył do kieszeni, przyniosła swemu panu kapelusz i ujęła ręką lampę, by poświecić, gdy szli schodami w dół.

W podsieniach na ulicy było już cicho, tylko z szynków dolatywały śmiechy i śpiewy włoskich mularzy<sup>67</sup> i robotników; wartownicy siedzieli przed budami i szykowali się na noc, zapowiadając się mroźnie.

Gdy przybyli na plac kościelny, wikary zatrzymał się i rzekł:

— Idź przodem, synu. Muszę najpierw pójść do księdza dziekana. Za pół godziny będę u was. A powiedz tymczasem Marysi, że ja mówię: wszystko będzie dobrze!

Podał Andrzejowi rękę, którą ten ucałował, i zatrzymał się przez chwilę u bramy domu, zanim się zdecydował wejść.

Co tam tego wieczora powiedział i co mu odpowiedziano, nie chciał nikomu zdradzić. Gdy jednak po kwadransie wyszedł, malowało się na jego twarzy głębokie przygnębienie. Wzdychał często, idąc w górę drożyną na Küchelberg, a gdy wreszcie ujrzał domek, z którego małych okien błyskało blade światelko, westchnął jeszcze głębiej; na chwilę przemknęło mu przez głowę, czy też raczej nie należałoby się cofnąć. Ale jeśli nie mógł pomóc, to przynajmniej nie zostawi biedaków samych w nieszczęściu...

Więc, nie pukając, otworzył drzwi i wszedł.

Zastał młodą parę w kuchni. Andrzej stał przy piecu i dmuchał w ogień, by ugotować polentę<sup>68</sup>. Marysia siedziała cicho i obojętnie na łóżku pod ścianą, jeszcze owinięta w płaszcz, w którym odbyła daleką drogę, jakby nie była wcale w swoim domu i nigdy już nie miała zaznać szczęścia przebywania przy ognisku domowym. Gdy ksiądz wszedł, mówiąc „dobry wieczór”, zadrżała, uczyniła ruch, jakby chciała wstać, lecz opadła z powrotem na łóżko i siedziała skulona, rękami zakrywając twarz i nie mówiąc ani słowa.

— Marysiu, czy mnie nie poznajesz?

Skinęła szybko głowę.

— Czy nie chcesz mi spojrzeć w twarz? Nie masz zaufania do mnie?

Nie odpowiadała. Drżała na całym ciele. Ksiądz potrząsnął smutnie głową.

— Andrzeju, wyjdź tymczasem do drugiej izby. Zostaw mnie z Marysią sam na sam. Mam z nią do pomówienia.

Chłopak natychmiast usłuchał, lecz nie wszedł do izby, tylko wyszedł na dwór; było mu za duszno w domu, w którym zaznał tyle zlego.

— A teraz, dziecko moje, wysłuchaj, co ci powiem. Zgrzeszyliście co prawda bardzo, a jeśli wam teraz źle i ciężko, macie to uważać za słuszną karę i pokutę. Ale grzech wasz nie jest tak wielki, izby się nie dało wszystkiego naprawić, zaś od tego, co ci najbardziej dokucza i obciąża twe sumienie, mogę, Bogu dzięki, zwolnić cię, gdyż powiadam i zaświadczam: Andrzej nie jest synem twej matki, a błogosławieństwo kościoła może z was

<sup>64</sup>*Gaudete in Domino semper* (łac.) — Radujcie się zawsze w Panu. [przypis redakcyjny]

<sup>65</sup>*kantata* — uroczysty utwór wokalnie-instrumentalny. [przypis edytorski]

<sup>66</sup>*fioritura* — ozdobnik muzyczny. [przypis edytorski]

<sup>67</sup>*mularz* (daw.) — górnik albo poganiacz mułów. [przypis edytorski]

<sup>68</sup>*polenta* — potrawa włoska z mąki kukurydzianej. [przypis edytorski]



uczynić chrześcijańskie małżeństwo. Więc pociesz się, podnieś twarz do góry i nie martw mnie i Andrzeja urojeniami, które tylko zło zwiększają, a złego ducha zachęcają, by tym silniej psował duszę twoją.

Spodziewał się, że po tych słowach kobieta uspokoi się i zacznie wreszcie mówić. Lecz siedziała nieruchomo, jakby jego słowa nie odnosiły się do niej. Przybliżył się jeszcze bardziej i oderwał od jej twarzy zimne i wilgotne ręce. Ujrzał, że jej miękkie, niemal dziecięce rysy w tych kilku miesiącach wielce się zmieniły. Miała oczy mocno zamknięte, brwi zmarszczone, usta na wpół otwarte, zaś blade policzki nagle zalała mocna czerwień, gdy ksiądz oderwał od twarzy ręce.

Patrzył na nią z głęboką litością.

— Rzeknij słowo — powiedział z naciskiem. — Nie mogę ci pomóc, gdy nie wiem, co ci dolega. Czy ci nie wystarcza, jeśli cię zapewniam, że Andrzej nie jest twoim bratem?

Potrząsnęła silnie głową i otworzyła oczy. Miały one tak dziki wyraz, że przeraził się.

— Wiem to lepiej — rzekła głucho. — Matka mi powiedziała, że ocyganiła wszystkich, księży, urzędy, wszystkich. Ale Pana Boga nikt nie może ocyganić. Gdzie jest matka Andrzeja, dlaczego mu nie pomaga teraz, gdy się znalazł w takim położeniu? Ja wiem lepiej! Nikt nam nie pomoże, nikt nas nie połączy, tylko śmierć, a teraz idźcie, księżo, i zostawcie mnie samą. Muszę, co prawda, najpierw dziecko...

Zatrzymała się; znowu zadrżała na całym ciele i zamknęła oczy; nagle uspokoiła się, jakby nad czymś przemyśliwała.

— Więc to prawda? Mam pójść z nim do kościoła, a wy, księżo, dacie nam błogosławieństwo? Tak, gdyby to było możliwe, byłoby to bardzo pięknie. Ale ja wiem lepiej, wy wszyscy jesteście ocyganieni, bo gdyby nadeszła ta chwila, w której zapytają, czy protestuje kto przeciw temu, by Andrzej i Marysia połączyli się ślubem małżeńskim — wtedy z pewnością świętej pamięci matka moja pojawiłaby się u ołtarza i rzekłaby ze śmiechem, że was wszystkich ocyganiła i że księdzu nie wolno udzielić błogosławieństwa. Tak się stanie. Ja wiem lepiej!

— Maryś — rzekł wikary głośno — jesteś pocziwą kobietą, ale cała twoja gadanina jest omamieniem złego ducha, by cię skusić do jeszcze większych grzechów. Czy ci nie wystarcza, jeśli ci powiem, że wiem, kto jest ojcem i matką Andrzeja, zaś nie wolno mi tego wyjawić, bo mi zakazali ci, którym winien jestem posłuszeństwo?

Spojrzała nań nagle wielkimi oczyma, nie mówiąc ani słowa. Ale w jej twarzy był taki ból, że wstrząsnął nim głęboko: musiał się odwrócić, by się opanować. Nagle poczęła śmiać się cicho a ironicznie.

— Tak jest, ksiądz nie śmie mi spojrzeć w twarz, wszystko to jest wymyślone, bym znowu stała się spokojna i wesoła; Andrzej prosił księdza o to, jemu to tak uciska serce... Ale czy można nam w ogóle pomóc? Gdyby ksiądz znał naprawdę jego rodziców, poszedłby do nich i powiedział: wytykają palcami Marysię i Andrzeja, bo ludzie utrzymują, że są bratem i siostrą, a będą mieli dziecko... Ale wy, księżo, nie możecie tego powiedzieć rodzicom Andrzeja, bo gdzie oni są? Matkę znam, powiedziała mi to we śnie, mnie nikt nie ocygani, ja wiem to lepiej...

Ksiądz nie mógł się dłużej powstrzymać.

— Słuchaj! — rzekł i przystąpił do łóżka. — Nie mogę zmieść tych biednych słów, zatem powiem ci, co wiem, a co jest tak prawdziwe, jak prawdą jest, że w niebie mieszka miłosierny Bóg. Ale ślubuj mi wprzód na twą biedną duszę, że nigdy nie powiesz nikomu, a zwłaszcza Andrzejowi, tego, co ci powierzę wbrew memu obowiązkowi i posłuszeństwu. Czy ślubujesz, że zatrzymasz przy sobie wszystko?

Skinęła trzy razy głową, a w oczach jej przez chwilę błysnęła iskierka nadziei.

— Widzisz, dziecko — zaczął ksiądz — Andrzejowi to jest niepotrzebne; on nie ma wątpliwości, sumienie go nie dręczy i bez lęku zaprowadziłby cię do kościoła. Myślę też, że wtedy siedziałaby w gronie innych parafian i jego matka i po cichu modliłaby się o błogosławieństwo dla was, lecz nie byłby to duch Marii Ingram, twej biednej matki, lecz... zbliżył swe usta do jej ucha — byłaby to ciotka Róży, Anna Hirzer, która go do chrztu trzymała...

Wypowiedział te słowa szeptem, szybko i jakby przerażony tym, co powiedział, rozejrzał się po izbie, czy też kto trzeci tego nie słyszał. Młoda kobieta siedziała cicho i apatycznie, jak by wyjawienie tej tajemnicy żadnego wrażenia na niej nie wywarło.

Prawda, Matka, Tajemnica

— A teraz, gdy wiesz tyle, dowiedz się, jak to wszystko się stało, gdyż inaczej sądziłabyś, że i to jest ułudą. Wiesz przecież, że twoja matka przyniosła małego Andrzeja z połonin. Tam go urodziła Anna Hirzer. Rok przedtem przybył z Niemiec do Innsbrucku obcy oficer; odbył on kampanię przeciw Napoleonowi<sup>69</sup>, a gdy rany jego się wygoiły, posłali go lekarze do Tyrolu, gdyż powietrze mu w jego ojczyźnie nie służyło i potrzebował dłuższego, krzepiącego wypoczynku. Razu pewnego ujrzał w Innsbrucku na ulicy Annę Hirzer; wkrótce się zaznajomili i pokochali; on był szlacheckim i rycerskim człowiekiem, a przy tym upartym; co sobie postanowił, to musiało się stać. Pamiętasz, że i Andrzej od małości był taki uparciuch? Ale sprawa ta nie była wcale łatwa... Bo oficer ten... Czy ty słuchasz, Marysiu, co ja mówię?

Skinęła głową i podniosła do góry ręce, jakby prosząc go, by się nie dziwił jej wyrazowi twarzy, lecz dalej opowiadał.

— Uważasz więc, oficer ten był dzielnym człowiekiem, szlacheckiego stanu, bogaty. Chciał też Annę poślubić. Lecz był to luteranin i nie chciał uznać naszego świętego Kościoła. Anna płakała dniami i nocami, widząc, że jest potępiony, a nie można mu pomóc. A gdy spostrzegła, że jej prośby i modły nie pomagają, poszła do swego spowiednika; ten poradził jej, by ofiarowała swe serce Bogu i uciekła przed tym, który ją kusi. A że była wielce pobożna, usłuchała; tajemnie opuściła Innsbruck, tak że narzeczony dowiedział się o tym dopiero wtedy, gdy już wróciła do Goyen, do brata. Ten ją bardzo pochwalił, że raczej uciekła, niż przyczyniła się do zgorzenia; boć przecie wiesz, że Kirzerowie zawsze byli gorliwymi katolikami, a Józef mawiał, że raczej wolałby stracić prawą rękę niż postradać dla tych kacerzy<sup>70</sup> i antychrystów kogoś z rodziny. Anna jednak nie mogła przeboleć utraty kochanka, po krótkim czasie przybladła i zmizerniała, przestała się odżywiać; miałam wrażenie, że zgaśnie jak lampa, do której się nie dolewa oliwy. Zbyt pokochała obcego i Bóg wie, co bym był dał, gdybym ich mógł połączyć. Wtedy też wiele o tym wypadku rozprawiałem z księdzem dziekanem, ale zawsze rozbijało się o to, że przecie i ich dzieci byłyby potępione, a tego nie chciały też i Anna. Minęło kilka dni, gdy pewnego ranka przychodzi do mnie Józef Hirzer i mówi mi, czerwony ze złości i zmartwienia, że narzeczony przyjechał w nasze okolice i mieszka na zamku Trautmannsdorf<sup>71</sup>, gdyż jest przyjacielem hrabiego. Cóż więc czynić?... Idę znowu do dziekana i znowu otrzymuję tę samą odpowiedź; idę potem do Anny, a wreszcie do cudzoziemca — do końca życia będę o tym pamiętał, ile mnie to potu i mordegi kosztowało! Ale gdy się tak trudziłem i byłem niemal przekonany, że ten oficer, który zresztą zachowywał się wobec mnie z wielką czołobitnością i uprzejmością, stanie się wreszcie wiernym synem naszego Kościoła — dowiaduję się, że śmiały ten człowiek nocną porą zakrada się do zamku Hirzerów i mimo czujności Józefa widuje się ze swą ukochaną. Przez cztery tygodnie trwały te nocne schadzki. Lecz pewnego razu o świcie, gdy opuszczał izdebkę swej kochanki oknem — obok rosła wysoka sosna, po której się zawsze wdrapywał i zląził — ujrzał go przypadkowo Józef, który tego ranka wcześniej niż zwykle wstał. Zaczęła się dzika walka między nimi, a Anna widziała z okien, jak brat wreszcie zmógł jej kochanka i deptał nogami. Obcy runął o skałę i zranił się tak ciężko, że leżał najpierw nieruchomo przez dłuższy czas, a potem z trudem dowlókl się do Trautmannsdorf. Hrabia kazał go odwiedzić do Wenecji<sup>72</sup>, a po trzech tygodniach nadeszła wiadomość, że umarł...

Wikary zamilkł na chwilę, wyjął z puszeki brzozonej szczyptę tabaki i mówił dalej:

— Pokój jego duszy! Był to wytworny i szlachezny kawaler, a postać miał wysoką i piękną. Andrzej jest do niego zupełnie podobny, tylko że jest niższy i ma oczy matki. Przemysliwałem tedy długo, dlaczego też między ludźmi mają być różne wiary i dlaczego jeden ma żyć w potępieniu, a drugi w oświeceniu i łasce. Ale Bóg tak ustanowił, a my, krótkowzroczni ludzie, musimy się z tym pogodzić... Ja sam musiałem powiedzieć Annie o smutnej wiadomości z Wenecji. To była ciężka droga, córko moja! Lecz potem u Hirzerów było cicho i spokojnie. Józef i Anna nie powiedzieli złego słowa, gdyż oboje mieli

<sup>69</sup>*Bonaparte, Napoleon* (1769–1821) — francuski mąż stanu, dowódca wojskowy i przywódca polityczny. [przypis edytorski]

<sup>70</sup>*kacierz* (daw.) — heretyk. [przypis edytorski]

<sup>71</sup>*Trautmannsdorf* — zamek w Merano. [przypis edytorski]

<sup>72</sup>*Wenecja* — miasto i gmina na północy Włoch nad Adriatykiem, stolica regionu Wenecja Euganejska. [przypis edytorski]

sobie wiele do wybaczenia. A gdy przyszło lato, Anna wyjechała rzekomo do Bolzano, naprawdę zaś udała się na połoniny do twej matki, gdyż prócz nas pięciorga nikt nie był wtajemniczony. Nawet na zamku w Trautmannsdorf nie wiadano, do kogo oficer nocą chodził w odwiedzin. A gdy potem było po wszystkim, a matka twoja z połonin sprowadziła w dom chłopaka, Anna sporządziła testament i połowę swego majątku zapisała kościołowi w Meranie, drugą połowę kościołowi w Innsbrucku, w którym to mieście poznała swego narzeczonego, i ufundowała pewną ilość mszy rocznie za duszę zmarłego, by się Pan Bóg nad nim ulitował i przyjął go do łaski swej. Tak więc to się wszystko stało i nie da się więcej zmienić, i lepiej jest nie tykać tego, niech spoczywają te dawne zajścia w pyłe zapomnienia. Również nie wypada, by Andrzej kwestionował testament i chciał pozbawiać duszę swego ojca łaski Kościoła. Jest więc dla niego lepiej, jeśli się nigdy nie dowie o swym ojcu i matce, tym bardziej że wcale nie pożąda tego. Ty jednak, córo moja, pamiętać będziesz, coś mi ślubowała, a wtedy Matka Boska wstawi się za tobą, by wam grzechy były darowane i byście wiedli spokojne, bogobojne życie po tylu ciężkich próbach. Amen.

Ostatnie słowa wypowiedział uroczystym, podniesionym głosem. Czekał teraz, czy zapyta go lub będzie miała jeszcze jakie zastrzeżenie. Lecz Marysia siedziała na łóżku cicho, z zamkniętymi oczyma, głowę oparła o ścianę, a ręce złożyła na kolanach. Z twarzy jej znikł wyraz lęku, czoło wyglądało się, pierś falowała spokojnie. Po chwili głowa jej opadła na ramię. Opowiadanie wikarego ukołysało ją jak piosnka matczyna, śpiewana niemowlęciu; po mękach i trudach ostatnich dni po raz pierwszy zapadła w głęboki sen...

Wikary powstał, a na twarzy jego malowało się zakłopotanie; nie spodziewał się takiego skutku swej przemowy! Teraz dopiero poczuł pewne wątpliwości, czy właściwe było powierzać tajemnicę tej biednej, widocznie nie całkiem za swe myśli odpowiedzialnej istocie. Tym bardziej że nie złożyła nawet ślubowania, iż wszystko zachowa przy sobie; na wszystko przytakiwała tylko głową, a ani słowa nie rzekła. Ale co się stało, to się odstać nie może — pomyślał ksiądz — a zyskał przynajmniej to, że zasnęła i na razie nic jej nie grozi. Zaś jutro się zobaczy, co dalej...

Cicho odstąpił od łóżka i wyszedł z izby. Andrzej siedział jeszcze na ławce, lecz nie wstał na widok księdza. Również i on, wiedząc, że biedna jego żona jest tam pod opieką wikarego, przemęczony, zasnął.

O tej samej godzinie na zamku Goyen nikt nie myślał o śnie. Późnym wieczorem przybył ze wsi Tyrol chłopak do Franka i powiedział mu nowinę o powrocie obojga zbiegów i o tym, w jakim stanie Marysia się znajduje... Ludzie — opowiadał — są oburzeni, powszechnie mówią, że tego przecież ścierpieć nie wolno, duchowieństwo winno wkroczyć, takie bezeczeństwo powinno ogniem i mieczem być wytępione, by po wieki dać wszystkim odstraszący przykład.

Franek był w bardzo kiepskim humorze, gdy go doszła ta nowina. Właśnie wrócił do domu po gwałtownej sprzeczce z młodą wdową, a swoją przyszłą żoną; a że mu zawsze w takich wypadkach schodzone z drogi, chętnie uczeplił się nowej okazji, by wyładować swą złość. Wszedł do pokoju, w którym ojciec siedział przy butelce, trzymając starą gazetę w rękach, a ciotka i Róża przędły na kołowrotku, i począł najordynarniejszymi wyrazami opowiadać o powrocie tych dwojga włóczęgów, przynoszących wstyd całej okolicy. Nikt nie odpowiedział mu ani słowem. Z wielką satysfakcją dostrzegł, że ciotka nagle zbladła i padła w ramiona Róży. „Zawsze — pomyślał — ujmowałaś się za Andrzejem, a teraz dożyjesz tego, że marnie zginie!”. Powiedział szyderczo „dobranoc” i wyszedł z pokoju. Natychmiast pobiegł do miasta, by tam w szynku pić całą noc.

W sali pałacowej przez kwadrans panowało milczenie. Ciotka modliła się. Róża siedziała w głębokim zamyśleniu, ojciec patrzył wciąż w jedno miejsce na gazecie i puszczał z fajki gęste kłęby dymu. Wreszcie wstał, kilkakrotnie stuknął drewnianą fajeczką o podszewkę buta i zbadał, czy po usunięciu popiołu fajka przepuszcza powietrze.

— Idź, Różo, spać! — rzekł wreszcie.

Gdy pozostał w pokoju tylko z Anną, przystąpił do niej i rzekł:

Grzech, Hańba, Gniew,  
Zemsta

— Daj pokój tym modłom! Modlitwami nie można usunąć, co komu diabeł naniósł! Słyszałaś, że ten włóczęga wrócił. Może wpadł na ślad, w jaki sposób przyszedł na świat, i chce narobić krzyku, by się wyłabudac<sup>73</sup> z biedy, w którą popadł z Marysią. Ale ja ci powiadam: progu mego nie wolno mu przekroczyć, ani jemu, ani tej dziewczce. Nie po to przez czterdzieści lat pilnowałem honoru naszego rodu, by taki luterński znalazł wcisnął się do nas i rodzoną siostrę Józefa Hirzera na stare lata zniesławił. Jeśli wszystkie twoje modlitwy po to tylko służyły, by cię po dwudziestu latach wystawić na pośmiewisko ludzi, to raczej wolałbym, byś...

Przełknął przekleństwo, które już miał na języku. Spojrzała mu bowiem prosto w twarz, a oczy jej miały taki wyraz powagi i dumy, że się pohamował.

— No, dobrze już — mówił łagodniejszym tonem — nie potrzebujemy wiele słów tracić, sama wiesz, co by się stało, gdybyś nie postępowała teraz rozsądnie. Każę jutro rano zaprząć i zawiozę cię do naszych krewnych w Lana; tam pozostaniesz, aż się tu wszystko załatwi. Myślę, że to długo nie potrwa. Sięgnę do kieszeni i zaproponuję mu odstępnę, jeśli się zobowiąże pójść w świat i nigdy nie wrócić. Można by też odkupić od niego domek z całym dobytkiem i dodać mu dziewczkę, w ten sposób pozbylibyśmy się ich obojga. Zastanowię się jeszcze, czasu jest dość, odwiozę cię, lecz jutro w południe wrócę i porozumiem się z wikarym; ten ma największy wpływ na tego szaleńca. Ale jeśli, siostrzo, postąpisz wbrew mej woli, powiadam ci: wszystko zrobię, by nie wypłacić ani centa, choćbym się miał procesować do samej śmierci. A teraz wiesz, bądź zatem mądra, nie wtrącaj się do niczego i nie szukaj żadnych wybiegów. Bo to wszystko nadaremne. Na to mogę ci przysiąc!

Wyszedł z pokoju, nie czekając odpowiedzi, i poszedł do piwnicy, by wziąć jakiś mocny środek nasenny, którego zaprawdę mimo twardego i pewnego tonu swych słów bardzo potrzebował.

Róża weszła z powrotem do pokoju i spojrzała na ciotkę zaleknionymi, zapłakanymi oczyma.

— Chodź — rzekła stara — pójdziemy do mojej izby. Mam ci coś do powiedzenia.

Wstała spokojnie, a ręka jej, trzymająca świecę, nie drżała. Gdy brat wyjawiał jej swoje zamiary, również i w niej dojrzał nieubłagany i niezmienny zamiar. I ona pochodziła z Hirzerów! Brat o tym dobrze wiedział... Toteż mimo pewności, jaką na zewnątrz objawiał, przeczuwał, że tak łatwo sprawa nie pójdzie. Tak spojrzała nań tylko raz w życiu: wtedy mianowicie, gdy spotkał ją po nocnej walce z jej kochankiem...

Środek nasenny, którego zażył obficie, działał wybornie. Gdy w Meranie dzwony wydzwaniały mszę poranną, pan zamku Goyen leżał jeszcze w głębokim śnie; nie słyszał też, gdy pies podwórzowy radośnie zaszczekał i szarpnął swe łańcuchy. Również i Franek nie mógł tego słyszeć, spędził noc na pijatyce w Meranie. Zatem obie kobiety niepostrzeżenie zeszły w ciemnych strojach niedzielnych po drewnianych schodach i w milczeniu poszły ku miastu w mglisty poranek zimowy.

Nie spały przez całą noc. Stara opowiedziała Różę wszystko, co ta dotychczas tylko niejasno przeczuwała lub sobie wykombinować mogła z podchwyconych odezwań i słów ojca, zwłaszcza gdy był pijany. Anna otworzyła skrytkę w wielkiej szafie ściennej; po raz pierwszy stare listy i mały portrecik zmarłego dotarły do innych oczu prócz jej jednej, która przez dziesiątki lat nie przestawała nad tymi pamiątkami płakać. Tylko tej nocy nie padła ani jedna łza; oczy te błyszczały teraz odwagą, twarz dziwnie odmłodziła, policzki zakraśniały; chód Anny stał się żwawy i elastyczny, tak że Róża musiała przyspieszać kroku, by zrównać się z ciotką.

Mgły snuły się po górach. Obie kobiety kroczyły przez nie i widziały tylko wyblaskujący szczyt Küchelbergu i ruiny starego zamku Zeno<sup>74</sup>. Wciąż jeszcze dźwięczały dzwony kościelne, zaś dźwięki te mieszały się z poszumem rzeki; z prawej i lewej strony na ścieżynach słycać było rozmowy ludzi, spieszących do kościoła, a niewidocznych we mgle; wciąż w rozmowach tych powtarzały się dwa nazwiska... Na dole, na kamiennym moście, moc było mężczyzn i kobiet; wszyscy kłaniali się z głębokim szacunkiem, gdy z niezwykłym pośpiechem przechodziła Anna Hirzer. Wszyscy też mocno się zdziwili, gdy nie

<sup>73</sup>wylabudac się (daw.) — wydostać się, wyzwolić się. [przypis edytorski]

<sup>74</sup>Zeno a. Castel San Zeno, a. Zenoburg — zamek w Merano. [przypis edytorski]

Szantaż

Matka, Prawda, Odwaga

poszła jak zwykle na lewo przez bramę miejską w stronę kościoła, lecz skierowała się na prawo na stromą drożynę, pnącą się ku Küchelbergowi. Wielu poszło za nią, jakby tam w górze szykowało się jakieś widowisko. Wszak szła tam osoba święta, Anna Hirzer, matka chrzestna Andrzeja... Co ona ma do powiedzenia tej zbłąkanej parze, która w hańbie i grzechu wróciła? Czy chce swą świętobliwością obronić grzeszników przed duchownym i świeckim sądem czy też sama wyrzec nad nimi słowo potępienia?

Tak szeptali mężczyźni i kobiety. Lecz Anna nie patrzała ani w lewo, ani w prawo, odpowiadała na powitania zaledwie lekkim skinieniem głowy, szła kamienistą drogą w górę, jakby była już sama duchem, nieczującym ziemskich dolegliwości i niezważającym na słowa ludzkie. Tuż za nią szła Róża z cichą i smutną twarzą, do której wszyscy już przywykli. Tylko dziś twarz ta była blada, tak że kobiety pokazywały ją sobie, kiwając z litością głową. Natomiast twarz starej była dziś dziwnie świeża i zaróżowiona. Anna nie przysiadła się też w połowie drogi na ławce, znajdującej się tam gwoli wypoczynku dla zmęczonych wędrowców. Jakby gnało ją przecucie, że ani minuty nie ma do stracenia.

I rzeczywiście nad ranem zebrały się chmury nad małym domkiem na Küchelbergu. Około północy Andrzej obudził się na ławce pod drzwiami; ziąb go przebudził. Zakradł się cichaczem do izby i, ujrawszy swą biedną żonę, spokojnie śpiącą na łóżku, położył się koło pieca, by wypocząć kilka godzin. Gdy z ciężkich snów obudziły go bladawe mgły poranne, zacierające przez okna, usłyszał głosy ze dworu i ujrzał postaci, zaglądale przez szyby do izdebki. Zza drzwi, które na szczęście w nocy zarygłował, doleciały go pojedyncze wyrazy, niepozostawiające żadnych wątpliwości co do zamiarów tych ludzi. Gdyby zaś był mógł poprzez mgłę dojrzeć, co się działo na drogach i w ogrodach, włosy zjeżyłyby mu się na głowie.

Tam bowiem zebrała się niemal połowa mieszkańców okolicznych wsi, Tyrolu, Gratsch, Algundu, którymi dnia poprzedniego z Marysią przechodził. Czego tu szukali i dlaczego stali, gapiąc się na dom, nikt właściwie nie wiedział. Wszyscy mieli niejasne przecucie, że coś niezwykłego stać się musi z tym dwojgiem ludzi, którzy dopuścili się tak niesłychanego grzechu; niektórych sprowadziła tu ciekawość, jak się też zachowają władze wobec takiej zbrodni; tylko bardzo niewielu było takich, którzy tu przyszli, powodowani litością.

Toteż słyhać było między zgromadzonym tłumem tylko ponure słowa i widać było surowe twarze. Z Meranu przybyło wielu mieszczan, a także pokaźna liczba żołnierzy, którzy nie zapomnieli awantury Andrzeja z ich włoskim kolegą. Im dłużej dzwony kościelne rozbrzmiewały, tym liczniejsze rzesze ludu płynęły ku chatce Andrzeja. Bo w tych okolicach niejedna krwawa zbrodnia i występki okropny z biegiem lat się przydarzyły, lecz nikt sobie nie mógł przypomnieć, by kiedykolwiek popełniono taki grzech śmiertelny i to w dodatku tak jawnie i bezczelnie okazywany wszem wobec.

Gdy pomruk ludu stale rósł i nikt nie wiedział jeszcze, co się tu niebawem stanie, usłyszano nagle ostry głos:

— Wyłamać drzwi! Rękami go wywłokę, łajdaka! Rozerwę w kawałki nędznika! Szczepnąć musi, przysięgam, jakem Franek Hirzer, czterema końmi go trzeba rozerwać i każdą ćwiartkę z osobna rzucić do rzeki! To mu się należy, temu pomiotowi szatańskiemu, a kto się sprzeciwi, będzie miał ze mną do czynienia.

Głęboka cisza zaległa wśród zebranych. Wszyscy skierowali zaciekawione oczy na drogę, którą szedł Franek w towarzystwie dwóch kompanów całonocnej pijatyki. Był bez kapelusza, twarz miał mocno zaczerwienioną, ale w chodzie i postawie nie było znać pijaństwa. Nienawiść i poczucie, że przemawia w imieniu wielkiego tłumu, że jest mścicielem zbrodni — otrzeźwiły go.

Andrzej słyszał te słowa, a po chwili burzliwe, namiętne ryki z tysiąca piersi, nawoływania i przekleństwa, mające być zachętą dla wykonawcy samosądu. Słyszał, że fala tłumy zbliża się coraz bardziej, i ogarnął go strach śmiertelny. Własne życie byłby poświęcił; świat był dlań przecież wrogi od dzieciństwa. Ale ta biedna, młoda istota, wypoczywająca tu po tyłu mękach i nieprzezwyciężająca nic złego — jakże ma ją ratować, jak przeszkodzić, by nie poniosła z jego winy męczeńskiej śmierci? Czy wyjść, poświęcić się, wziąć całą winę na siebie? Ale kto go zechce wysłuchać, kto uwierzy, choćby się powołał na świadectwo swego duchownego opiekuna? Musi jednak spróbować na wszelki wypadek, gdyż zgłębienie na dworze rósł z każdą chwilą. Słyszał teraz, że dawny jego kolega, Jaś, przemawia

do tłumy i usiłuje osłabić wrażenie słów Franka. Należy czekać — mówił — aż władze coś postanowią, trzeba wezwać księdza dziekana lub wikarego, który był spowiednikiem czarnej Marysi, bo coś tu jest nie w porządku, a sądy to wykażą... A potem słychać było znowu głośne krzyki Franka i ryki włoskich żołnierzy, i wołania starszyny o spokój, i głośne biadania kobiet, i hen, w głąb, pomruk oburzonego tłumy, miotanego ślepią namiętnością.

Andrzej zrozumiał, że jest stracony. Pomyślał, czy nie należałoby obudzić Marysi, zdjąć ze ściany sztucer i zastrzelić ją i siebie, by ją uchronić przed okrutniejszą śmiercią...

Nagle na dworze ucichło. Słyszał kilka głosów, nawołujących do milczenia. Tylko Franek jeszcze krzyczał. Lecz i jego głos nagle zamilkł i Andrzej usłyszał łagodny, lecz stanowczy głos ciotki Anny, rozbrzmiewający w odległości kilku kroków od chaty.

— Wstydz się, Franku, w świętą niedzielę tu się awanturujesz i klniesz, i podżegasz ludzi, którzy sami nie wiedzą, czego chcą. Idź natychmiast do domu i przebierz się w niedzielny strój, a potem zejdź do kościoła i módl się na klęczkach, by ci Pan nasz grzechów twych ciężej nie policzył niż Andrzejowi i Marysi tam w izbie, których, nędzna istoto, chcesz karać, jak gdybyś ty był sędzią, a nie takim samym grzesznym, niedoskonałym człowiekiem jak my wszyscy. Ustąp mi z drogi! — rzekła podniesionym głosem — a wy wszyscy idźcie sobie swoją drogą! Bo tylko ja mam prawo zapukać do drzwi tego domu, w którym znajduje się *mój* syn, którego wśród boleści urodziłam i do którego przez długie lata się nie przyznawałam, bo byłam słabą kobietą i lękałam się hańby przed światem. Teraz jednak powiadam i zaświadczam przed obliczem Boga Ojca i Syna, i Ducha Świętego, i wobec wszystkich, którzy tu są zebrani: Mój on jest, a kto go chce oskarżać lub zhańbić, niech mnie oskarża, bo ja zawiniłam, jeśli popadł w niedolę; bo ja nie dopilnowałam go, jak matka pilnować winna swego dziecka, lecz oddałam obcej kobiecie, która go kochać nie mogła! Teraz wiecie wszystko, więc zejdźcie do kościoła i módlcie się za mnie, wielką grzesznicę, którą uważaliście za bogobojną i uczciwą, a która spomiędzy wszystkich kobiet będzie najnędzniejszą i godną największej pogardy, jeśli się Bóg nie ulituje i nie objawi swej łaski wobec mojej skruchy i cierpienia.

Gdy to wypowiedziała, zapanowała dokoła cisza, nikt nie ruszył się z miejsca z wyjątkiem Franka, który cofnął się zmieszany i znikł w tłumie.

Anna zapukała do drzwi domu, które się natychmiast otwały. Na progu stał Andrzej. Ujrzał oczy matki, skierowane w niego, ujrzał łzy w tych oczach, ujrzał, że się pod nią kolana ugięły, gdy chciała postąpić o krok; byłaby przed nim upadła, gdyby jej nie otoczył swymi ramionami i mocno nie przytrzymał, tak iż mogła na jego piersi się wyplakać...

Teraz tłum się ruszył; szepcząc, starsi gospodarze poczuli zwracać swe kroki w stronę drogi, kobiety przyciskały chustki do oczu. Wielu pozostało i wpatrywało się w otwarte drzwi, za którymi znikła matka z synem.

Niedługo trwało, a znowu stanęli we drzwiach, matka w środku, Andrzej po prawicy, Marysia po lewej stronie. Trzymali się za ręce, nie mówili ze sobą, spoglądali jeno milcząco przed siebie. Gdy Marysia ujrzała na dworze Różę, puściła rękę matki i rzuciła się na szyję swej przyjaciółki. Potem we czworo poszli drogą, wiodącą do miasta. Milczący tłum ruszył za nimi.

Na dole, przed kościołem, rozstąpiły się przed nimi tłumy. Już wieść dotarła do miasta. Wszędzie, przed drzwiami, w oknach, stali ludzie, by ujrzeć Annę Hirzer, bogobojną pannę, która prowadziła swego syna, by go pokazać całemu miastu, jako grzesznica wielka, dopraszająca się miłosierdzia boskiego w większym stopniu niż niejedna kobieta, która ją uważała za świątobliwą istotę.

W godzinę potem, gdy wydzwoniono na dwunastówkę, klęczała matka z obojgiem dzieci całkiem na przodzie, na zimnej posadzce. Wikary z ołtarza widział ją dobrze. Głos jego drżał, gdy mówił pierwsze słowa. Głos ten dźwięczał coraz pełniej i radośniej; a gdy organy zagrały, spojrzął w górę, jak by błagał o łaskę nieba dla pochylonej na kamiennej posadzce siwej głowy i obu młodych postaci po jej bokach.

---

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z *Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur*.

Ten utwór jest w domenie publicznej.

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na *Licencji Wolnej Sztuki 1.3*. Fundacja Nowoczesna Polska zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w *Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur*. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/heyse-andrzej-ingram/>

Tekst opracowany na podstawie: Paul Heyse, *Wesele na Capri*. Nowele włoskie, Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 1959.

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>).

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Aleksandra Kopeć-Gryz, Elżbieta Sekuła, Paulina Choromańska, Wojciech Kotwica.

Okładka na podstawie: *Włoszka z Procidy koło Neapolu*, Tytus Maleszewski (1827–1898), domena publiczna

*Wesprzyj Wolne Lektury!*

Wolne Lektury to projekt fundacji Nowoczesna Polska – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

*Jak możesz pomóc?*

Przekaż 1% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Nowoczesna Polska, KRS 0000070056.

Dołącz do *Towarzystwa Przyjaciół Wolnych Lektur* i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przekaż darowiznę na konto: [szczegóły na stronie Fundacji](#).